Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

CENA 60 GR.

Nr. 11 Listopad 1933 r. Rok IX

MŁODA MYŚL LUDOWA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM RUCHU LUDOWEGO

REDAKCJA ADMINISTRACJA: WARSZAWA, SZOPENA 16 m. 20. Tel. 8.93-50. Konto P.K.O. 8.636.

LEON LUTYK

„NIE Z ICH TYLKO WINY"

Z prawdziwem zadowoleniem ujrzałem w „Młodej Myśli" artykuł księdza *Jana Zieji* p. t. *„Kościół a ruch ludowy"*. Uważam, że zagadnienia w nim poruszone muszą być jaknajszerzej dyskutowane i pozwalam sobie twierdzić, że nic nie przyczyni się tak do krzewienia prawdziwej religji chrześcijańskiej wśród świadomej młodzieży wiejskiej, jak odważne i wielostronne rostrząsanie tych zagadnień.

Wprawdzie wiem, że samo odezwanie się w tych sprawach wywoła tumult wśród obserwujących nas dewotek i tercjarzy — ale trudno — nawet Chrystus nie uniknął gniewu faryzeuszów-świętoszków. Zresztą doskonałą tarczą dla nas będzie tu sutanna kol. ks. Zieji, który zapoczątkował tę dyskusję w sposób poważny a zarazem nacechowany synowską miłością dla Kościoła.

Niespodzianką jest dla mnie samego, że z większością myśli zawartych w artykule ks. Zieji godzę się w zupełności. Tak przywykliśmy już

do arbitralnego, nie uznającego nic obok siebie tonu „ojców kościoła", że odezwanie się dość swobodne i rzeczowe księdza jest dla nas czemś nowem i bardzo sympatycznem. Każdy z przyjemnością czyta słowa księdza, który nas nie gromi, nie wymyśla nam, nie straszy piekłem, a tylko pogodnie omawia z nami te wcale nie tak znowu „drażliwe" dla nas zagadnienia.

Twierdzę, że w tej przyjemności, jaką przy tem odczuwamy, odzwierciadla się cała przychylność i sympatja, jaką w zasadzie żywi wieś dla kleru. Z doświadczeń pracy związkowej wiem, z jaką radością i dumą opowiadają zwykle chłopi, że „w naszej parafji jest porządny ksiądz". Nie będę w tem miejscu wnikał w zagadnienie: czy często mają do takiego twierdzenia sposobność — stwierdzam tylko, że jeżeli mają — sprawia im to radość.

Naogół zgadzam się z określeniami kol. ks. Zieji zarówno co do ruchu ludowego jak i co do Kościoła, z tem, że te określenia mówią raczej co powinno być niż o tem co jest. Ale w każdym razie dobrze jest mieć takie zasadnicze określenia, gdy się te rzeczy omawia.

Uważam, że cała nasza praca czy walka, jaką w ruchu ludowym we wszystkich dziedzinach, a także i w dziedzinie stosunku do Kościola prowadzimy jest właśnie dążeniem, ażeby zarówno ruch ludowy jak i kościół były takie jak je w swoich określeniach przedstawia ks. Zieja. I jak nikt naszej walki w sprawach dotyczących wyłącznie ruchu ludowego nie nazywa walką z ruchem ludowym — tak chciałbym aby naszej pracy w dziedzinie zagadnień Kościoła nie brano za walkę z Kościołem, a tylko o Kościół.

I gdy staniemy na tej płaszczyźnie, łatwo spostrzec, że katolik, który dziś w swej działalności społecznej nigdy nie wystąpi przeciwko klerowi, jest złym katolikiem, bo stwierdza przez to, że mu jest zupełnie obojętne, jaki jest Kościół, i że nie rozumie tego, co słusznie podkreśla ksiądz Zieja, że Kościół nietylko *jest* ale i *staje się*, a zwłaszcza nie rozumie tego, że Chrystus, zakładając instytucję Kościoła, rzucił ziarno Królestwa Bożego i jednocześnie powierzył społeczności chrześcijańskiej troskę i opiekę nad tem, *jak to ziarno rośnie.* Nie wolno więc w tej sprawie być obojętnym widzem: trzeba czuwać i patrzyć, a gdy potrzeba — walczyć o to, żeby Kościół rósł tak jak chciał Chrystus. I dlatego ten, kto otwarcie, głośno, po męsku występuje wewnątrz i nazewnątrz Kościoła przeciwko złu, co krzewi się w organizacji, która jest tego Kościoła szatą— ten więcej czyni dla religji chrześcijańskiej niż pobożna pozornie bezkrytyczna masa tak zwanych „księżych lizuniów", zawsze gotowa *mordować i bić* w imię miłości chrześcijańskiej w obronie rzekomo zagrożonego Kościoła.

Nie będę wdawał się tu w dysputy natury teologicznej, nie będę roztrząsał treści dogmatów ani nawet form obrządków — nie dlatego, abym uważał dyskusję nad temi sprawami za niemożliwą w społeczności chrześcijańskiej jeno dlatego, że ruch ludowy nie jest terenem na tego rodzaju dyskusje. Zajmę się tylko pokrótce zagadnieniami, które leżą bezpośrednio na terenie działalności ruchu ludowego.

Temi zagadnieniami są: rola jaką spełnia Kościół w społeczeństwie stosunek Kościoła do państwa i nawzajem, zagadnienie udziału księży w życiu społeczeństwa i ich w tem społeczeństwie stanowiska, wreszcie

wpływ oficjalnych organów Kościoła na życie społeczne i na pojęcia moralne społeczeństwa.

Twierdzę, że wszystkie walki, jakie staczał Kościół katolicki ze swymi wrogami, wszelkie herezje i schizmy i te wszystkie nieporozumienia jakie dziś istnieją pomiędzy Kościołem a znaczną częścią ludzi ochrzczonych po katolicku wynikają z niezgodności zapatrywań na to, co powinien robić Kościół w społeczeństwie. Gdyby oficjalne wykładniki Kościoła zawsze stały na stanowisku wyłącznie krzewienia zasad chrześcijańskich bez ubocznych celów—sądzę, że nie byłoby pola do szerszych rozdźwięków—bo same zagadnienia teologiczne nie miałyby siły ich stworzyć. Dążenie do potęgi materjalnej i do władzy świeckiej odcisnęło tak wybitne piętno na działalności Kościoła a także na jego formach organizacyjnych, że wątpliwości: „czy to jest zgodne z ideją Chrystusową" — biją w oczy każdego, kto ma odwagę myśleć i patrzyć.

Wystarczy przeczytać Ewangelję, nie mówiąc już o dziełach Ojców Kościoła, wystarczy chociaż pobieżnie poznać życie Świętych — a zwłaszcza świętego Franciszka z Assyżu, żeby zrozumieć, że Chrystus zaleca Kościołowi nietylko skromność materjalną ale poprostu *ubóstwo*.

W Ewangelji św. Łukasza (Rozdz. IX) czytamy o Chrystusie i jego uczniach, którzy przecież stworzyli podstawy Kościoła. *„I rozesłał je, żeby kazali Krolestwo Boże i uzdrawiali niemocne. Tedy rzekł do nich: Nie bierzcie nic na drogę ani laski, ani taistry, ani chleba, ani pieniędzy, ani dwóch sukien miejcie"*.

I oto Kościół, który w innych wypadkach nawet z niedomówień Ewangelji snuje dogmaty niewzruszone i każe ich przestrzegać pod grozą kar piekielnych — jak choćby spowiedź, czy posty — tego wyraźnego nakazu, podanego w Ewangelji w sposób jasny i bezpośredni — nietylko nie przestrzega — ale wręcz go zlekceważył. Przecież cała historja Kościoła od wczesnego średniowiecza aż po czasy dzisiejsze — to pasmo gromadzenia niezmiernych bogactw materjalnych, pasmo życia kleru nietylko w dobrobycie ale i w sybarji.

To samo jest z zagadnieniem dążenia do władzy. Zarówno zasada: *„Oddajcie co cesarskiego cesarzowi, a co boskiego Bogu"*, jak i stwierdzenie: *„Królestwo moje nie jest z tego świata"* wyraźnie stwierdza, że Chrystus za siebie i za Kościół swój raz na zawsze zrzekł się władzy świeckiej. A przecież do dziś dnia całe życie publiczne Kościoła jest przesiąknięte dążeniem do wpływu na rządy pod pozorem dbałości o przestrzeganie przez państwo interesów wiary. W imię czego jeżeli nie w imię utrzymania się przy władzy świeckiej piętnuje się mianem zdrajców wiary i Kościoła tych wszystkich, którzy dążą do rozgraniczenia wyraźnego władzy świeckiej od kościelnej przez rozdział Kościoła od państwa.

Już samo nagromadzenie dóbr materjalnych w Kościele i ścisłe sprzęgnięcie władzy kościelnej ze świecką stawia Kościół nie na właściwem miejscu w społeczeństwie. Z ogniska bezinteresownej wiary staje się on w ogromnym stopniu przedsiębiorstwem, ze stróża moralności chrześcijańskiej — czynnikiem międzynarodowych rozgrywek politycznych. Stąd też wynika zupełne wypaczenie zasad Chrystusowych w stosunku Kościoła do zagadnienia wojny. Inspirowanie wojen — czynny w nich udział Kościoła — błogosławieństwo udzielane stale niszczącym narzę-

dziom mordu — to nietylko gra przeszłości historycznej. Dziś jak i dawniej po obu stronach mordujących się w wojnach gromad ludzkich stoją kapłani z oznaką *tej samej* religji chrystusowej w ręku i błogosławią rozlewowi krwi bliźniego i zagrzewają do tego rozlewu — zdobywając tem sobie nieraz aureolę świętości.

Nie kwestjonuję wartości patrjotyzmu, objawiającego się gotowością oddania krwi za swoją ojczyznę. Ale kapłan, który nie czuje, że jego patrjotyzm nie powinien objawiać się przez rozlew krwi bliźniego — nawet w obronie, nie jest *chrystusowym* kapłanem. A Kościół, który nie potrafi jasno i twardo stanąć na gruncie przykazania: *„nie zabijaj!"* — nie spełnia roli wytkniętej mu przez Syna Człowieczego.

Jaki był stosunek Kościoła do oręża w dawności historycznej — wiemy wszyscy. Ale spójrzmy na czasy nowsze. Jeden z najwybitniejszych myślicieli kościelnych końca ubiegłego stulecia, biskup francuski *Ks. Bougaud* w jednem z najwybitniejszych swoich dzieł p. t. *„Wiara i Niewiara"* w następujących słowach apoteozuje Francję: *„Od niej (Francji) również mamy na usługi tej naszej wolności szpadę, ów dawny topór Franka, szpadę jak błyskawica szybką, a niezawodną, która przeszła w bagnet, broń rdzennie francuską, dotąd pomimo nowych klęsk, nie mającą równej. Zapewnie były miecze równie mocne, ale nie było równie pięknego. Na tym drogim nam orężu Kalwarja wycisnęła swe piętno"*. Niedawno zdarzyło mi się widzieć trzewia, wypływające z rozprutego bagnetem brzucha. Katolik — katolikowi. Przypomniałem sobie te słowa i pomyślałem: Czy też pobożny autor tej apoteozy bagnetu widział kiedy taką scenę?

A niedawno czytaliśmy w gazetach, że gwardja papieska w Watykanie została uzbrojona w karabiny maszynowe nowego systemu...

Jeżeli jest w tych zestawieniach z różnych czasów postęp — to gorzką ironją byłoby podkreślać, na czem on polega.

Równie jaskrawo występują te rzeczy przy zagadnieniu kary śmierci. Czyż nie wydaje się ponurym paradoksem to, że ugrupowania demokratyczne wszystkich krajów katolickich w swej walce o zniesienie kary śmierci spotykają przeciwko sobie zawsze grupy ściśle związane z Kościołem i od niego zależne. Czy Kościół, który tyle słów oburzenia i tyle rzewnych łez umie wylać z powodu barbarzyńskiego potraktowania jego wyznawców lub kapłanów przez rewolucjonistów bolszewickich czy hiszpańskich — znalazł kiedy mocne słowo na potępienie *samej zasady kary śmierci?* Nie ma więc potrzeby przypominać zbrodni świętej inkwizycji. Nie istnieje już ona, ale duch, jaki owiewa dziś władzę Kościoła nad światem niedaleko odbiegł od tamtych czasów. Niezmiernie ważne również dla ruchu ludowego jest rozważenie zagadnienia stanowiska księdza w społeczeństwie. Na wsi to zagadnienie jest dzisiaj poprostu palące. Reforma tych stosunków, jakie dziś istnieją w tej dziedzinie, jest równie pilna dla dobrze zrozumianego interesu Kościoła jak i dla ruchu ludowego.

Ksiądz jest jeszcze dziś na wsi niedostępnym władcą. Z tytułu swego kapłaństwa zajmuje odrazu stanowisko nadrzędne w społeczeństwie. Nie jest uczestnikiem gromady, nie jest przodownikiem w doskonaleniu się człowieka — jest gromadzie obcy. Oficjalne czynniki Kościoła nie czynią nic, aby księdza do gromady zbliżyć, przeciwnie czynią wszystko, aby go od niej oddalić. Ustrój parafji jest taki, że wzajemne stosunki pomiędzy księdzem a parafjanami mogą się kształtować tylko jako stosunek

władcy do podwładnych, pana do niewolników i nawzajem. Niema tam miejsca na wzajemne zrozumienie i na inne podejście jak arbitralne i władcze ze strony księdza, pokorne i niewolnicze lub znowu buntownicze ze strony wiernych. Jest pan, niewolnicy i buntownicy — niema braci, współtowarzyszy pracy, równej choć niewykluczającej przodownictwa gromady.

Już sama rożnica majątkowa stawia księdza w położeniu nadrzędnem nad gromadą, zwłaszcza wobec ustroju kapitalistycznego. Dochodzą do tego arbitralne formy ustroju parafji i autokratyzm hierarchji kościelnej. Biskup amerykański, odwiedzający na rowerze swoich proboszczów jest czemś tak dalekiem od ducha pompy z jaką się przyjmuje naszych książąt kościoła, że podobny obrazek nie da się u nas nawet pomyśleć. A jednak jest on znacznie bliższy do wskazań chrystusowych. Ta pompa i przepych, jaką się kler rzymski otacza to nie jest rzecz przypadkowa. To metoda wychowawcza obliczona na utrzymanie autokracji — metoda grania na instynktach niewolniczych, wyrobionych setkami lat, imponowania maluczkim potęgą formy. Oczywiście niema tam miejsca na potęgę treści.

Nic dziwnego, że to odbiło się na całej metodzie krzewienia religji w Kościele katolickim. Najistotniejszym czynnikiem wychowawczym jest tam *strach*, obawa kary lub też niewiele więcej warta z punktu widzenia wychowawczego — nadzieja *nagrody*. Na *miłość*, o którą Chrystus oparł całą swą religję znowu niema tu miejsca. Z temi metodami układania stosunku pomiędzy kapłanem a gromadą musi się wiązać i zagadnienie elementu z jakiego rekrutuje się kler.

Nie wartość osobista człowieka wyrabia księdzu stanowisko społeczne — sama sutanna już wystarcza. Cóż dziwnego, że na księży idą przeważnie ludzie, nie nadający się na żadne stanowiska społeczne o które trzeba się ubiegać swoją własną wartością. W tych warunkach nic nie pomoże jaknajwyższe kształcenie teoretyczne księży — choć nie przeczę, że lepsze to niż dotychczasowy półanalfabetyzm. Myślę, że poziom osobisty kleru podniesie się dopiero wtedy, gdy sutanna kapłańska przestanie być karjerą materjalną i gdy rozdział Kościoła od Państwa stworzy warunki takie, że ksiądz jak każdy człowiek wolnego zawodu będzie musiał swoją własną wartością zjednać sobie stanowisko wśród swoich parafjan.

Chłopi zorganizowani w ruchu ludowym muszą patrzyć na kler z punktu widzenia jego wartości społecznej. Do kapłaństwa spełniającego rzetelnie swoją rolę, świecącego przykładem życia chrześcijańskiego i przodującego cnotami ludzkiemi i obywatelskiemi ustosunkowujemy się nietylko przychylnie, ale musielibyśmy uznać w niem kwiat i świecznik społeczności. Ale duchowieństwo niespełniające tej szczytnej roli *obowiązani jesteśmy zwalczać* bardziej niż innych ludzi złych, bo ich zło przez wpływ na społeczeństwo potęguje się wielokrotnie — zresztą mamy prawo wymagać od nich rzeczy najlepszych. Zły ksiądz jest największym szkodnikiem społecznym. Chrystus upoważnił nas do kontroli i krytyki wartości naszych przewodników duchowych — kapłanów. Nie dadzą się podwójnie wytłumaczyć słowa, jakie powiedział do uczniów swoich: (Ewang. Mat. R V p. 13) *„Wy jesteście sól ziemi, jeżeli tedy sól zwietrzeje, czemże solić będą. Do niczego się już nie zgodzi, tylko aby była precz wyrzucona i od ludzi podeptana"*.

Należy jeszcze rozważyć wpływ decydujących czynników kościelnych na moralność społeczną i pojęcia, w jakich żyje katolickie społeczeństwo. Smutne panują u nas w tej dziedzinie stosunki i bez gruntownego ich przerobienia nie da się podnieść powagi kościoła w życiu społecznem. Może najwyraźniej zaznacza się to w stosunku do rodziny, do zagadnień życia płciowego, małżeństwa i populacji. Tutaj oficjalne czynniki Kościoła z niesłychanym uporem i fanatyzmem stają na przeszkodzie każdej reformie społecznej, obliczonej na podniesienie zdrowia moralnego i fizycznego społeczeństwa. Przytem każdego bije w oczy jak jedynie i wyłącznie powodują się tu względami korzyści materjalnych kleru. A propaganda, jaką rozwijają przytem dla nakłonienia ciemnej i bezkrytycznej masy swoich zwolenników do obrony zagrożonych przez te reformy dochodów przewyższa demagogją walkę przedwyborczą najmniej uczciwych spekulantów politycznych. Kłamstwo, oszczerstwo, potwarz — to najczęściej używane metody dla pognębienia przeciwników, którymi często są bardzo wartościowi i poważni pracownicy społeczni lub najpoważniejsze organizacje wychowawcze. Za teren dla tych wyczynów służy najczęściej miejsce poświęcone — ambona, albo prasa oficjalna lub półoficjalna Kościoła. My w pracy Związku Młodzieży Wiejskiej mamy na to tysiące dowodów. Oczernianie i rzucanie kalumnij z ambon na naszych działaczy związkowych, którzy często zarówno swojem życiem osobistem jak i głęboką wartością i bezinteresownością świecą przykładem swojej gromadzie — jest na porządku dziennym. W swoim fanatyźmie niektórzy księża posuwają się do wystąpień tak jaskrawych, że budzą one tylko niesmak i szkodzą głównie powadze kapłana i Kościoła. Podobnie stoi sprawa z działalnością prasy kościelnej. Przecież to wstyd dla Kościoła, że do komunikatów Katolickiej Ajencji Prasowej nikt dziś niema zaufania. Poprostu ludzie wiedzą, że posługiwanie się kłamstwem i oszczerstwem jest dla niej chlebem codziennym. Z całego szeregu doświadczeń miałem możność przekonać się jak tendencyjnie i fałszywie przedstawia ta Ajencja Prasowa wszelkie wydarzenia mające wpływ na przebieg walki władz kościelnych o swoje postulaty w różnych zagadnieniach społecznych. Bije to w oczy analogją z przed wieków. Tak jak dawniej różni dygnitarze kościelni w typie papieża Aleksandra VI bez skrupułów potrafili się posługiwać sztyletem i trucizną dla usunięcia niewygodnych im ludzi — tak współcześni wielmoże Kościoła używają rzezimieszków i zbirów pióra dla przeprowadzenia swoich celów. Strona moralna tu i tam wygląda jednakowo.

A już kwiatem tego, do czego zdolni są rządziciele dzisiejszego Kościoła, gdy chodzi o korzyści materjalne jest wydawanie pod opieką Kościoła takiego pisma jak *„Rycerz Niepokalanej"*. Przecież to jest kuźnica najciemniejszego zabobonu, żonglerka geszefciarska, której wstydziłby się napewno nawet Szyller-Szkolnik. Pismo to gra na instynkcie strachu i naturalnej skłonności różnych nieszczęśliwych, chorych lub rozpaczonych ludzi do poszukiwania pomocy u znachorów i owczarzy. Za odpowiednią opłatą otrzymuje się w tem piśmie pomoc Matki Boskiej w tysiącznych drobnych sprawach, interesach i geszeftach. A potem podaje się do publicznej wiadomości reklamiarsko - dziękczynne listy. Przecież poważni księża rozumieją doskonale, że taka robota jest *brudna*, że to *paczy istotę pojęć religijnych*, że to *krzewi zabobon*. Boć przecież nie

objawem wiary a zabobonu jest taka prośba do Niepokalanej poparta pięciozłotówką. Jestem przekonany, że gdyby to nie „Rycerz Niepokalanej", ale ktoś inny zagrał tak na strachu steroryzowanych życiem maluczkich i zorganizował sobie takie wspaniałe przedsiębiorstwo dochodowe, Kościół nazwałby to słusznie łajdactwem i oszustwem. Dlaczego *ta sama* robota w rękach kleru nie jest przez Kościół piętnowana? Dlaczego władze Kościoła Katolickiego w Polsce nie wstydzą się tego publicznego nadużywania religji dla zysku materjalnego, jakiem jest „Rycerz Niepokalanej"?

W tym artykule staram się wskazać szereg jaskrawych dowodów, że ruch ludowy, jeżeli chce być uczciwy w stosunku do społeczeństwa, które organizuje i do ideałów jakie głosi — nie może kroczyć w gronie bezkrytycznych chwalców dzisiejszego Kościoła i musi stanąć czołem do klerykalizmu, walczyć z nim nietylko o swoje własne organizacyjne sprawy ale przedewszystkiem o dobro, godność religji i Kościoła. W pierwszym zaś rzędzie musi ruch ludowy doprowadzić do rozróżniania wyraźnego na wsi trzech pojęć zasadniczych: Bóg, Kościół i Ksiądz. Sądzę, że to co piszę niczem nie sprzeciwia się tenorowi artykułu kol. ks. Zieji. Rozwijam tylko te punkty, w których kol. ks. Zieja, jako człowiek zależny, nie mógł się swobodnie wypowiedzieć, wyjaśniam tylko to niedomówienie, które ks. Zieja zamknął w tem swojem zdaniu o działaczach ludowych i ich stosunku do Kościoła: *„Tyle tu nagromadziło się nieporozumień!... wiem, — nie z ich tylko winy"*. To: *„nie z ich tylko winy"* jest nieco szerzej potraktowane w moim artykule.

Nie mam pretensji jednak do wyczerpania wszystkich punktów, na których powstały zaognienia pomiędzy ruchem ludowym a kościołem i klerem. Każde z tych zagadnień wymaga osobnego szerokiego omówienia. O niektórych, jak naprzykład o stosunku Kościoła i ruchu ludowego do oświaty wcale nie wspomniałem nawet. Chodzi mi o danie z grubsza wyrazu temu, jakiemi drogami idą myśli tych działaczy ruchu ludowego, którzy nie zrezygnowali jeszcze z walki o uzdrowienie stosunków pomiędzy ruchem ludowym a Kościołem i nie chcą jeszcze *„precz wyrzucać i deptać"*.

TOMASZ NOCZNICKI

CO SIĘ KOŁO NAS DZIEJE?

Niepokój, wielki niepokój niesie czas obecny światu.

Cztery lata i trzy miesiące trwała straszliwa rzeź narodów.

Kto tę burzę wywołał?...

Kto rozpętał te złe moce, co przez lat 4 i trzy miesiące potrafiły rzucić na siebie 70 miljonów uzbrojonych mężczyzn? Kto niezmierne potęgi państw-kolosów potrafił pchnąć ku wzajemnemu, okrutnemu mordowaniu się i unicestwianiu?

Kto zniepráwił tak okrutnie naukę — wiedzę, pomysłowość i twórczość ludzką, aby całe ich niezmierne bogactwa rzucono na szalę walk, na skrwawione pola bitew, aby tam siać *mord*, zagładę, zniszczenie? Kto to uczynił?

Mówiono i pisano o tem po obu stronach frontu i wzajemnie zrzucano z siebie za tę zbrodnię odpowiedzialność. Spór ten nie został rozstrzygnięty. *Winowajcy — podpalacza Europy* nie znaleziono — nawet go nie szukano. Widocznie dlatego, że to nie był „jeden" tylko zbrodniarz. Tedy powiedziano naiwnym: *że ta wojna, to już ostatnia wojna.* „Wytrwajcie", zwyciężcie (każda ze stron tak mówiła) a po zwycięstwie nastąpi trwały pokój.

Tak mówili wszyscy.

Nareszcie skończyła się wojna...

Późną jesienią 1918 r. poselstwo niemieckie stawiło się przed dowodzącym armjami sprzymierzonemi, francuskim generałem marszałkiem Fochem i tam przyjęło, *przyjąć musiało* ciężkie warunki zawieszenia broni.

W międzyczasie, *cesarz niemiecki uciekł do Holandji* — a pokój już zawierał naród niemiecki, zorganizowany jako *republika demokratyczna.* A więc taka organizacja państwowa, która głosiła wobec świata, że ona nie była powodem wybuchu wojny.

A chociaż w roku 1870 Napoleon III, cesarz Francji wypowiedział wojnę Prusom, a przegrawszy ją, był w niewoli niemieckiej i chociaż w 1871 r. pokój z Prusami a właściwie Cesarstwem Niemieckiem zawarła Republika Francuska, która nie wypowiadała wojny Prusom — to jednak *zwycięskie Niemcy podyktowały niezmiernie ciężkie warunki* pokoju zwyciężonej Francji; zabrały jej dwie prowincje: Alzację i Lotaryngję i kazały zapłacić 5 *miljardów franków kosztów wojennych i kontrybucji — sumę na owe czasy olbrzymią.* I Francja, zniszczona w czasie wojny i zrabowana przez Niemcy, bo wojna toczyła się na ziemi francuskiej, musiała te ciężkie warunki pokoju wykonać.

Prócz tego zwycięskie Niemcy zagrażały ciągle Francji nową wojną, powiększały swoją armję, zbudowały olbrzymią flotę wojenną, zawierały przymierza z innemi narodami A wszystko to w celu uderzenia na Francję, gdy sposobna pora nadejdzie. Ostatecznie stanęły na przeciw sobie z jednej strony: *Niemcy, Austrja i Włochy* — z drugiej — *Francja* i Rosja. Anglja stała na uboczu. Taki *„zbrojny pokój"* trwał w Europie lat kilkanaście; zamienił on Europę *w koszary*, miljony mężczyzn wtłoczył w mundury, nabudował fortec, pancerników i przygotował niezmierną ilość sprzętu wojennego.

Ta powszechna zbrojownia wybuchnęła krwawą pożogą w pierwszych dniach sierpnia 1914 r. Od tego czasu piekło zstąpiło na ziemię. Otóż przez 4 lata i 3 miesiące na tej wszechświatowej wojnie zginęło 13 miljonów ludzi, raniono przeszło 30 miljonów a strat materjalnych było około 400 miljardów dolarów. Mordowano się *na ziemi, pod ziemią, w powietrzu, nad wodą i pod wodą.* Z jednej strony: Niemcy, Austrja, Bułgarja, Turcja — z drugiej reszta świata. Późną jesienią 1918 r. zostało zawarte *zawieszenie broni*, a w 1919 r. pokój t. zw. *Wersalski.*

W marcu 1917 r. w Rosji carskiej wybuchła rewolucja. Tron Romanowych, co stał przeszło 300 lat, *runął.* A w listopadzie tegoż roku rządy w Rosji sprawowali *komuniści* — t. zw. *bolszewicy.* Rosja stała się

państwem *kamunistycznem i jest niem dotąd.* Wojna wszechświatowa spowodowała jeszcze *dwie* niezmiernie ważne przemiany myślowe u ludzi.

1. Nauczyła rządy, a przedewszystkiem *władze wojskowe* różnych stopni, że można rządzić *okrutnie, samowładnie* i *nieodpowiedzialnie* dziesiątkami miljonów uzbrojonych ludzi metodami wojskowego, bezwzględnego posłuszeństwa, *dyscypliny* czyli *rygoru*, który karze okrutnie *bo karą śmierci* za najmniejszy odruch nieposłuszeństwa władzy przełożonej, chociażby *w sprawie najbardziej błahej i mało ważnej* — rygoru, co z żywego człowieka czyni bezwolne narzędzie, maszynę. Dalej — że ludzie wojskowi, *oficerowie mogą rządzić cywilami, szczególnie w krajach okupowanych* i, że ci cywile muszą z największem posłuszeństwem wypełniać wszystkie nawet *najdziksze rozkazy władzy okupacyjnej wojskowej.* I chociaż te rządy wojskowych nad cywilną ludnością cechowały nieraz najwyższa głupota i zdziczenie, że te rządy wojskowe zrujnowały narody, prowincje, kraje, wsie i miasta, to jednak w czasie tych wojskowych rządów *posłuch był żelazny.* Bo znowu straszne, okrutne — nieludzkie — kary, aż do kary śmierci włącznie, utrzymywały w biernem posłuszeństwie ludność cywilną. Taki stan rzeczy wzbudził w wojskowych zwłaszcza u wyższych szarż niezmierną pychę i *niezachwianą wiarę* w swój rozum, zdolności i skuteczność swojej władzy.

2. To zrozumienie przez te miljony żołnierzy, że te *wielkie władze*, w rzeczywistości trwały ich *biernością i bezwolnością* i że przy pierwszym odruchu żołnierzy wyjarzmienia się z tego rygoru *władza potężnych generałów okazała się fikcją. Jenerałowie stali się bezradni jak małe przerażone dzieci.* Zaczęło się to w *Rosji*, a przeszło przez Niemcy, Austrję a potrochu okazało się wszędzie. A znowu cywile przekonali się, że rządy wojskowe to najgorsze i *najnieznośniejsze, bo najgłupsze rządy.*

Taki oto *balast myślowy* został wyniesiony z *„krwawych pól bitew"*, z okopów, z *„tyłów" „płytkich"* i *„głębokich"*, z obozów dla jeńców, *gdzie zamarzano głodem krocie ludzi* — słowem z tego *piekła* dla żywych ludzi, co się nazywa *wojna.* To też po skończonej wojnie narody wyjarzmione zaczęły się organizować w *rzeczpospolite.* Niemcy, Austrja, Węgry uwolnione zostały od *„pomazańców"* i stały się wolne. Niemcy uchwaliły konstytucję *Wejmarską*, wyłoniły rząd republikański, wybrały wykształconego robotnika prezydentem Rzeszy, a demokrację zrozumiały w ten sposób, że zwróciły *„prywatne" mująłki rodzinom panującym.* Bo, jak wolność — to wolność, niechże będzie wolny każdy obywatel i niech używa wolności nawet dlatego: — aby tę wolność *zabić, zniszczyć.*

Taki był stan rzeczy w czasie wojny i zaraz po wojnie wśród narodów zwycięskich i pobitych. Aczkolwiek człowiek, żołnierz, o ile wyszedł żywy z tej rzezi, o ile wyniósł niezupełnie potłuczone gnaty, to rzuciwszy w kąt mundur przedewszystkiem *chciał spocząć — chciał po ciężkiej burzy, która mu zszarpała nerwy, spokoju, odpoczynku, chciał przyjść do równowagi moralnej, fizycznej i umysłowej.*

*
* *

Zapytywałem powyżej kto był *podpalaczem świata?* Otóż tym podpalaczem był *kapitalizm.* Znaleść go nie było można, ponieważ był on wszędzie, w każdem państwie. *O co mu chodziło?* — o *„rynki zbytu“.* Otóż w listopadzie *1917* roku w Rosji komuniści sprawowali władzę państwową. Świat z tą chwilą podzielił się na dwie nierówne połowy: jedną mniejszą, ale zajmującą $\frac{1}{6}$ część globu ziemskiego *to komunistyczna Rosja* (ma ona obecnie już prawie połowę zaludnienia Europy); drugą większą połowę, bo $\frac{5}{6}$ części globu ziemskiego o ustroju kapitalistycznym.

Dopóki manifest komunistyczny z 1848 r. był mrzonką, utopją, o której ucieleśnienie nie było komu zwycięsko walczyć, *komunizm jako teorja, był zwalczany przez inne teorje*, ale kiedy w 1917 r. *w ogniu i krwi* powstało państwo komunistyczne, toż świat stary, świat kapitalistyczny nie mógł się z tem pogodzić. Tak samo i komunizm, który rozumiał, że prędzej czy później nastąpi przeciwko niemu pochód krzyżowy czyli *krucjata. W mózg kapitalistycznego świata został wbity gwóźdź groźby komunizmu.* A znowu komunizm rosyjski, dookoła siebie widział tylko wrogów. Z tego stanu rzeczy wynikło, że wszystko to, co w Rosji przedstawiało kapitalizm wszystko jedno jaki, monarchistyczny, czy demokratyczny zostało zgruchotane i położone na łopatki. Ale zwycięstwo nad kapitalizmem u siebie nie zabezpieczało komunistycznej Rosji od zewnątrz. *To też idea ta,* poszła w świat cały aby budować wszędzie wzorem Rosji tenże ustrój. *Podłożem dla wzrostu tej idei jest zawsze nędza i krzywda mas pracujących,* która po wojnie jeszcze bardziej wzrosła, oprócz tego przykład Rosji, gdzie przewrót się udał, zachęcał innych wyznawców tej idei aby ten sam ład społeczny i u siebie zaprowadzić. Więc Węgry, Włochy, Bawarja kusiły się o zmianę ustroju, to się jednak nie udało. Ale na tle tych przewrotów wyrosła we Włoszech dyktatura Mussoliniego, który za pieniądze włoskich kapitalistów zorganizował ruch, zwany *faszyzmem,* na którego czele zwyciężył nietylko słabych we Włoszech *komunistów* ale i również słabych *socjalistów* i *demokratów* i opanowawszy władzę gwałtem, rozbojem, *mordując ludzi i znęcając się nad niemi,* zaczął na jesieni 1922 r. swoje nad Włochami panowanie. Będąc przeciwnikiem bolszewizmu, zaczął rządzić *metodami bolszewickiemi* i rządzi tak już lat 10. Stał się wzorem i prototypem różnego rodzaju dyktatur, jak *na Litwie, w Polsce, Jugosławji* i wogóle gdzie tylko powstają *dyktatury — wszystkie wzorują się na Mussolinim i jego faszyzmie.* Niemcy, jak wyżej powiedziałem, przy końcu roku 1918, zorganizowały się jako republika demokratyczna. *Były one ojczyzną socjalizmu* już przed wojną. Liczba posłów socjalistów w parlamencie niemieckim była najliczniejszą i dobrze zorganizowaną. Socjalizm niemiecki po wojnie rozłamał się jednak na *socjalistów demokratów i komunistów.* Oba te odłamy myśli socjalistycznej po rozłamie poczęły walkę ze sobą. *Walkę upartą, nieubłaganą — i wzajemnie się przez to osłabiały.* Prócz tego *socjalizm niemiecki i demokracja niemiecka prześcigały się w uznaniu dla wodzów wojny* n. p. *marszałka Hindenburga, Ludendorfa* i innych — oraz — uważały się za pokrzywdzonych razem z prawicą niemiecką przegraną wojną i pokojem Wersalskim, który odjął Niemcom część dawnych ziem polskich, które powróciły do Polski wraz z małą częścią wybrzeża Morza Bałtyckiego z miastem Gdańskiem, zorganizowanem jako *„Wolne miasto“*, pod opieką Polski. Otóż Niemcy, przegrawszy wojnę, utraciwszy na rzecz Francji

Alzację i Lotaryngję a na rzecz Polski ziemię poznańską, część Pomorza i część Śląska, żyły i działały z myślą o odebraniu tych ziem — Polsce przedewszystkiem. Rzecznikiem tej odwetowej myśli stał się w Niemczech *Hitler Adolf*, którego rzeczywiste nazwisko jest *Schickelgruber*. Ten działając bez sprzeciwu w Niemczech przez lat parę, a idąc wzorem *Mussoliniego*, w porozumieniu z nim i za jego materjalną pomocą, *robił sobie partję*", budował swoje wpływy, wiecował, wydawał pisma, stał się *mężem opatrznościowym niemieckich junkrów i niemieckich kapitalistów*, którzy hojną dłonią zasilali jego wielkie potrzeby. Hitler w słowie i piśmie głosił Niemcom i tłumaczył im, że traktat Wersalski to wielka krzywda Niemiec, że ziemie oddane Polsce, to rabunek ziemi niemieckiej, że płacenie przez Niemcy komukolwiek jakichkolwiek należności ze strony Niemiec — *to gwałt i krzywda*, że traktat Wersalski trzeba obalić, ziemie „*niemieckie*" Polsce odebrać i że wszystkich komunistów, socjalistów, demokratów trzeba poprostu wytępić, a żydów zniszczyć i wypędzić. Tłumaczył przytem Hitler Niemcom, że wszystko to może zostać spełnione jeżeli on dojdzie do władzy. Słowem — był Hitler niezmiernie hojny w obietnicach. Bezrobotnym, których jest w Niemczech kilkanaście miljonów, obiecywał pracę i zarobki; bogaczom nietykalność ich fortun, chłopom niemieckim wysokie ceny za produkty rolne; byłej dynastji Hohenzollernów powrót na tron. Kiedy tak przygotował Niemcy do wiary w siebie i w swoje obietnice, zaczął działać.

Stanął do wyborów w lecie ubiegłego roku i większości nie dostał, ale miał największą liczbę posłów. Wybory były uczciwe, postarał się więc o rozwiązanie sejmu i w dniu 5.3 t. r. przeprowadził *ulepszone „polskie"* wybory. *Przegrać nie mógł, dla pewności kazał podpalić gmach parlamentu w Berlinie, a ogłosił, że to zrobili komuniści. W „wyborach" takich* zwyciężył, otrzymał większość, a z nią rządy w Niemczech. Jakie to są rządy i co one niosą Niemcom, Polsce, Europie i światu — napiszę w następnym artykule.

KAROL PĘDOWSKI

KILKA UWAG O AKADEMJI I AKADEMIKACH LITERATURY POLSKIEJ.

Jest rzeczą niewątpliwą, że poziom literatury w Polsce niepodległej obniżył się. Młode pokolenie pisarskie nie wyłoniło z pośród siebie talentów wiekopomnych. Zanikły tradycje wielkiego piśmiennictwa polskiego.

Znaczenie literatury dla narodu, dla jego kultury, dla ogółu i ożywiających go idei, zbyt jest wielkie, by mógł przejść nad nim do porządku dziennego nawet ten, kto w świecie książki nie żyje i dla kogo książka nie stanowi wartości samej w sobie.

I dlatego należało się już oddawna zastanowić, czy społeczeństwo i państwo polskie nie ponosi tutaj, choćby części winy? Czy powody zła nie tkwią również w świecie zewnętrznym? I czy wobec tego zaradzić im w pewnej mierze nie byłoby można?

Artysta musi mieć znośne warunki pracy, musi posiadać chociaż trochę wolnego czasu na studja językowe, historyczne etc., na pogłębianie wiedzy o życiu, na bogacenie swej wyobraźni. Czyż jakich takich warunków nie może zapewnić pisarzowi społeczeństwo? Jakżeż często młody literat o swoistej indywidualności pisarskiej, zostaje przemilczany, lub ośmieszany przez nieodpowiedzialną krytykę. Jakież walki musi staczać z ludzką zawiścią, na jakie napotyka przeszkody i piętrzące się wszędzie trudności.

— Złego nie usuwają towarzystwa artystyczno-literackie, kasy i instytucje pożyczkowe. Nie są również w stanie nic poradzić zrzeszenia cząstkowe grup i grupek... — pisze Stefan Żeromski, w swoim projekcie Akademji Literatury Polskiej.

I oddawna już powinna była powstać instytucja czysto literacka, z literatów złożona, reprezentująca największe indywidualności pisarskie, mogąca się cieszyć dostateczną powagą, której zadaniem byłoby opiekować się i zajmować wszystkiem co świata pisarskiego dotyczy.

Stefan Żeromski chciałby Akademji Literatury powierzyć przedewszystkiem trzy sprawy

1) Sprawa instancji i obrony twórczości wolnej

2) Sprawa rozszerzenia kultury literackiej na warstwy szerokie inteligencji i ludu.

3) Sprawa czystości i piękności języka.

* * *

Dziś, gdy powstanie Akademji Literatury Polskiej stało się rzeczywistością, należy się zastanowić w jakiej mierze reprezentuje ona polskie piśmiennictwo i czy może cieszyć się dostatecznem zaufaniem by prace jej były owocne. Akademja Literatury Polskiej winna być uosobieniem możliwie największego objektywizmu, a stając się zwykle celem dążeń większości wybitnych literatów, powinna grupować istotnie najwybitniejszych, najpoważniejszych, reprezentujących wartości wszechstronne.

To też skład osobowy nie jest sprawą drugorzędną.

Rzecz oczywista, iż nie sposób ustalić tu dokładnych kryterjów, że za tym lub przeciwko temu pisarzowi pewne względy przemawiać zawsze będą.

Zawcześnie jest już dziś mówić o przyszłej działalności powstałej Akademji, jednak już dzisiaj można ocenić jej skład osobowy, program i na tej podstawie pewne, choćby, jaknajbardziej ogólne wyprowadzić wnioski.

W Akademji Literatury zasiedli:

Wacław Sieroszewski, Leopold Staff, Juljusz Kaden-Bandrowski, Karol Hubert Rostworowski, Miriam-Zenon Przesmycki, Wacław Berent, Zofja Nałkowska, Szaniawski, Tadeusz Boy-Żeleński, Karol Irzykowski, Piotr Chojnowski, Leśmian, Wincenty Rzymowski, prof. Tadeusz Zieliński, prof. Kleiner.

(Prezesem Akademji Literatury został Wacław Sieroszewski, w-prezesem Leopold Staff, sekretarzem Juljusz Kaden-Bandrowski).

Andrzej Strug zrzekł się godności, Kazimiera Iłłakowiczówna nie mogła przyjąć z powodu braku czasu, na ich właśnie miejsce weszli Szaniawski i Leśmian.

Andrzej Strug nie przyjął godności, nie chcąc współpracować w Akademji, której zadaniem jest „współpracowanie z rządem”.

Z oficjalnego programu niestety zupełnie niedwuznacznie „współpraca” taka wynika

Akademja Literatury ma:

1) Reprezentować polskie piśmiennictwo;

2) Występować z inicjatywą poczynań zdążających do podniesienia poziomu literatury i opieki nad literatami.

3) *Współdziałać* z rządem we wszystkich poczynaniach dla dobra kultury i sztuki polskiej.

4) Wypowiadać opinje *na życzenie władz państwowych* w sprawach dotyczących języka, literatury i kultury polskiej.

5) Przyznawać nagrody literackie oraz stypendja dla literatów.

6) Podejmować wszelkiego rodzaju wydawnictwa, poświęcone rozwojowi polskiej sztuki literackiej.

7) Wyróżniać utwory literackie i decydować o przyznaniu im kwalifikacji „Odznaczone przez P. A. L.”

* * *

Zastanowić się należy kogo rażąco brakuje w składzie Akademji.

— Przedewszystkiem niema Aleksandra Świętochowskiego, ostatniego bodaj przedstawiciela dawnego polskiego pozytywizmu, wielkiego pisarza i publicysty. Brak Kazimierza Tetmajera, który nie mógł być wybrany do Akademji z powodu stanu zdrowia. Z literatów trochę młodszych niema Marji Dąbrowskiej, pisarki o wielkim talencie, której nieskończony jeszcze cykl powieści „Noce i Dnie” należą do najlepszych dzieł pisarskich Polski lat ostatnich.

Z profesorów brak przedewszystkiem Brücknera, uczonego wielkiej miary i świetnego pisarza.

Jakżesz przedstawia się teraz skład Akademji — jest pewna ilość nazwisk bezspornych, pisarzy wielkich, których wysuwa na czoło zarówno ich tworzywo literackie, czy naukowe jak i cała działalność.

— Wacław Berent, chyba największy z pośród żyjących polskich pisarzy, olbrzymia i nawskroś samoistna indywidualność, Leopold Staff, Karol Hubert Rostworowski, prof. Tadeusz Zieliński, jedna z wielkich sław naukowych Polski, Wacław Sieroszewski, Miriam-Zenon Przesmycki, którego imieniem Stefan Żeromski chciał nazwać Akademję Literatury, Zofja (Rygier) Nałkowska, Tadeusz Boy-Żeleński, któremu bezwzględnie należało się miejsce w Akademji Literatury, wbrew dość licznym głosom prasy, Karol Irzykowski autor Pałuby, doskonały krytyk, prof. Kleiner, wreszcie Szaniawski, przeciwko któremu możnaby już mieć pewne zastrzeżenia.

Skąd natomiast w Akademji Literatury Polskiej znalazł się Wincenty Rzymowski, publicysta całkiem drugorzędny jest zupełnie niezrozumiałe, Piotr Chojnowski jest literatem dobrym, tak samo, jak bardzo indywidualnym poetą jest Leśmian, wielu jednak pisarzy jest od nich większych.

Warto poświęcić kilka słów Juljuszowi Kaden-Bandrowskiemu, pisarzowi dość utalentowanemu, ale pełnemu niesłychanego cynizmu, pisarzowi, który jest organicznie pozbawiony objektywizmu. Jego ostatnia trylogja — Mateusz Bigda — jest wstrętnym pamfletem na działaczy dzisiejszej opozycji (dawniejszych leaderów partyj sejmowych). Książka ta pozbawiona jest jakiegokolwiek ideału, jakiegokolwiek pionu moralnego. Juljusz Kaden-Bandrowski jest pisarzem zbyt stronnym, by należało sądzić, że działalność jego w Akademji będzie pożyteczna.

Mimo wszelkich wysuwanych zastrzeżeń Akademja może zrobić bardzo wiele dobrego.

Tradycje wielkiego piśmiennictwa polskiego, tradycje wielkich imion Żeromskich, Sienkiewiczów, Kasprowiczów, Młodej Polski, Romantyzmu powinny być wskrzeszone. I może Akademja Literatury Polskiej choć trochę się do tego przyczyni. Oczywiście nowych talentów nie stworzy, nowych idei młodym umysłom nie zaszczepi, ale ochroni „górne i chmurne loty" tych, którzy tworzyć będą przyszłą polską literaturę...

Wydaje się, że można byłoby walczyć o taki lub inny ustrój, o taki czy inny skład Akademji Literatury Polskiej, przed jej powstaniem, z chwilą gdy już powstała, zwalczać jej nie można, a owszem życzyć jaknajowocniejszej pracy.

J. G.

PO ZJEŹDZIE ZW. MŁ. W. R. P. „WICI"

W drugiej połowie listopada odbył się w Warszawie Walny Zjazd Delegatów Związku Młodzieży Wiejskiej R. P. „Wici". Jak większości zjazdów organizacyj niezależnych w dobie obecnej tak i zjazdowi „wiciowemu" towarzyszyły specjalne okoliczności, jak konfiskata „Wici" tuż przed Zjazdem, trudności z salą, obecność przedstawicieli policji na Zjeździe, telefoniczne raporty i tym podobne wypadki ingerencji „sił wyższych", wszędzie, o każdej porze dnia i nocy, obecnych. A wszystko to widać poto, aby „wiciowcy"wiedzieli, że nie są gorsi od innych. A wcale nie są gorsi. Zjechali się na swój Zjazd tłumnie, tłumniej niż dwa lata temu, w czasach nieco lżejszych niż obecne. Gdy z kilkotygodniowej perspektywy patrzę w myśli na ten Zjazd, na jego żywe obrady i zapalczywe dyskusje, przypomina się obraz szeroko, bujnie i do głębi rozkołysanej fali, płynącej ku dalekim, niewidzialnym kresom. Wszystkie ważne zagadnienia, które czas na swym grzbiecie przynosi i któremi żyją dziś ludzie: kryzysowo-gospodarcze i ustrojowe, religijne i niereligijne, semickie i słowiańskie znalazły swe echo, oddźwięk i odbicie w nurcie dyskusji. Wielka rozpiętość i bogactwo tonów tej dyskusji — od słów, nawołujących

do ewangielicznej międzyludzkiej miłości i upominających się o właściwe miejsce dla ludzkiego serca w dzisiejszym rozgardjaszu i rozbestwieniu świata—do płomiennych wezwań, aby wejść na drogę radykalnych i bezwzględnych czynów—świadczą o ideowej szerokości, wielostronności i głębi „wiciowego" ruchu. Podobnie jak przez spór i walkę myśli w umyśle jednostki, walkę popędów i namiętności, prowadzi droga do krystalizacji poglądu i przewodniej linji dla czynów, tak w ogniu sporów i dyskusyj zbiorowości „wiciowej" wypala się drogocenny metal własnej społecznej wiary i światopoglądu niezależnego ruchu młodej wsi. I wszystko jedno, czy światopogląd ten i ta wiara podobają się komu z lewa czy z prawa, czy też nie, będzie on z ducha wsi, z jej ciężkiej pracy i ciężkiej walki, z twardego lecz dobrego serca wiejskiego człowieka oraz wypróbowanej w szkole życia chłopskiej rozwagi i trzeźwego, zrównoważonego rozumu.

Obok dyskusji na tematy, które można określić jako zasadnicze, ideowo-społeczne, toczyły się troskliwe obrady i nad tem, co nadal czynić w związkowych gromadach na drodze do odnawiania od samych podwalin wszystkich, najbardziej zapuszczonych dziedzin życia wsi. Plon uchwał zjazdu i w tym zakresie jest bardzo bogaty.

Między postanowieniami o znaczeniu podstawowem znajdują się uchwały społeczno-gospodarcze, mające być uzupełnieniem dotychczasowej deklaracji ideowej Związku. Oto ich treść:

1. Związek Młodzieży Wiejskiej Rz. P. wyraża przekonanie, że obecny ustrój kapitalistyczny oparty jest na wyzysku człowieka przez człowieka, oraz jednej warstwy społecznej przez drugą i jest źródłem nędzy, jaką w chwili obecnej przeżywa warstwa chłopska i robotnicza. Chłop, który społecznie stoi między kapitalistą, a proletarjuszem jest jednak bliższy robotnika i dlatego w walce o nowy ustrój społeczno-gospodarczy musi iść solidarnie z całym światem pracy.

2. Nędza ludzi pracy wsi i miast w dzisiejszych czasach nie jest wywołana brakiem dóbr dla zaspokojenia potrzeb, lecz źródło tego stanu tkwi w niesprawiedliwym podziale dóbr społecznych i w wadach dzisiejszego ustroju. W przyszłym ustroju społeczno-gospodarczym każdy winien otrzymać wynagrodzenie tylko stosownie do rzeczywiście poniesionej pracy, dla słusznego zaspokojenia swoich potrzeb. Nierówności gospodarcze, znamionujące kapitalizm muszą zniknąć jako wynik słusznej walki o urzeczywistnienie demokracji gospodarczej.

3. Przebudowa ustroju społeczno-gospodarczego, w szczególnosci na ziemiach słowiańskich, musi się dokonać w oparciu o wieś i o twórcze wartości tkwiące w chłopie. Nowy ten ustrój musi być budowany z myślą o urzeczywistnieniu ideału sprawiedliwości społecznej, tak aby w końcu z życia społecznego usunąć wyzysk w jakiejkolwiek formie, a wszelką pracę oprzeć na zgodnem współdziałaniu poszczególnych jednostek i warstw społecznych dla dobra powszechnego. Podstawą gospodarki w tym ustroju winna być spółdzielczość.

4. Wychodząc z założenia, że wolność osobista jednostek i całych społeczeństw jest najwyższą wartością — należy wszelką działalność go-

spodarczą oprzeć na wolnym, samodzielnym i uspołecznionym człowieku, którego działalność musi się jednak zmieścić w ramach ogólnego planu gospodarczego.

5. W Polsce Ludowej, do której w pracy naszej zmierzamy, ziemia, jako podstawowy i ważny czynnik w życiu, warsztat, w którym wytwarzane są konieczne dla całego społeczeństwa produkty rolne, winna, w ilościach, nadających się do racjonalnego gospodarowania, należeć do tych obywateli, którzy sami na niej pracują. Da to państwu silne oparcie, w licznych szeregach gospodarczo samodzielnych, ideowo zdrowych, pozytywnie do państwa się ustosunkowujących obywateli-rolników.

Uchwały te są krokiem naprzód w formułowaniu się linji społeczno-ideowej Związku. Trudno się z nimi nie godzić jako całością. Ale też nie pozbawione są one miejsc niejasnych i podźwiękujących ogólnikowym frazesem. Do takich miejsc zaliczyłbym przedewszystkiem zdanie, że *„chłop w walce o nowy ustrój społeczno-gospodarczy musi iść solidarnie z całym światem pracy"*. W środowisku ludowem i robotniczem dosyć często używa się tego określenia: świat pracy i nadaje się mu znaczenie takie, jakiego ono w sobie wcale nie posiada. Cóż to jest ten świat pracy? — Poza chłopami: fornale, robotnicy fabryczni, pracownicy przedsiębiorstw handlowych, pracownicy tak zwani umysłowi, posiadacze drobnych warsztatów rzemieślniczych i t. p. Słowem jest to olbrzymia warstwa społeczna ludzi—wcale nawet w sobie pod względem socjalnym niejednolita—ale mająca ten wspólny mianownik, że żyje nie z przynoszącego zyski kapitału—ale przedewszystkiem z pracy. I chłop z tym światem pracy ma iść solidarnie. Dobrze. Tylko dokąd? Bowiem ta poza chłopska część świata pracy nie stanowi jednego świata ideowo-społecznego, jest pod tym względem rozbita i zróżniczkowana. Są wśród niej odłamy katolicko-narodowe, jak i socjalistyczne, komunistyczne jak i faszystowskie. Więc z tym całym światem ludowcy mają iść solidarnie? A jeżeli nie z całym, jak mówią uchwały, to z którym z jego politycznych odłamów? Któremu z nich autorzy uchwał przyznają pierwszeństwo w reprezentowaniu tej poza chłopskiej części świata pracy? Może ktoś odpowiedzieć—tej, która przejawia najwięcej klasowego uświadomienia i posiada najlepszą świadomość swych klasowych celów? Ale też i pod tym względem komuniści będą przelicytowywać socjalistów i faszystów oraz odwrotnie. Czyż więc nie słuszniej byłoby, aby w deklaracji młodzieży wiejskiej — młodzieży największej i najbardziej jeszcze jednolitej, pod względem politycznym, części świata pracy było raczej wezwanie pod adresem reszty, aby to ona szła z chłopem solidarnie? Dotychczas przeważnie tak było, że chłop deklarował tylko temu lub owemu swoją solidarność — a nie starał się o własną drogę. Ale chyba czas już z tem skończyć! Tem więcej, że nieco niżej w omawianych uchwałach czytamy, **że przebudowa ustroju społeczno-gospodarczego, zwłaszcza na ziemiach słowiańskich musi się dokonać w oparciu o wieś.**

Drugim takim niejasnym i spornym punktem w tych uchwałach jest ustęp, mówiący, że **wolność osobista jednostek i całych społeczeństw, jest najwyższą wartością,** że na wolnym, samodzielnym i uspołecznionym człowieku należy oprzeć wszelką działalność gospodarczą—ale ta wol-

ność—która jest „najwyższą wartością” **musi** się jednak zmieścić **w ramach ogólnego planu gospodarczego.** Jeżeli ta najwyższa wartość, jaką jest wolność **musi** się zmieścić w ogólnym planie gospodarczym — to, logicznie biorąc, przestaje z tą chwilą być najwyższą wartością, bo nad nią jeszcze wyższą staje się ogólny plan gospodarczy. Jest tu błąd logiczny. Ale i merytorycznie biorąc, z takiem brzmieniem tego ustępu trudno się zgodzić bez zastrzeżeń. Na pojęcie wolności, która musi się zmieścić w ramach ogólnego planu gospodarczego zgodziliby się napewno i komuniści i faszyści, którzy też nie odmawiają nikomu takiej wolności. Tylko ów plan gospodarczy tak gruntownie przenika każdą szczelinę życia jednostek, że z wolności nieduży tam ślad pozostał. Ten ustęp uchwał, kłóci się wyraźnie z tem, co jest przed nim powiedziane, że wszelka praca ma być oparta na *zgodnem* współdziałaniu poszczególnych jednostek i warstw społecznych. Gdzie się mówi o *zgodnem* współdziałaniu — tam nie można używać słowa *musi*, bo wtedy będziemy mieli *zgodne współdziałanie — pod przymusem.* A temu z pewnością autorzy uchwał są przeciwni.

Niejasności powyższe są prawdopodobnie rezultatem tego, że miejscem stylistycznego formułowania uchwał był zjazd — teren, na którym czas depce ludziom po piętach. W uchwałach mających znaczenie deklaracji ideowej — lepiej podobnych niejasności unikać.

TADEUSZ REK

MAŁŻEŃSTWO

(Artykuł dyskusyjny)

Zakorzeniło się wśród nas przekonanie, że tylko kościelna jurysdykcja matrymonjalna daje pełną gwarancję porządku i moralności w życiu rodzinnem. Nic dziwnego. Dla utrwalenia jakichś pojęć, dla wtłoczenia w ramy ludzkiego umysłu odpowiedniej treści, tak, aby człowiek stworzył sobie pewien świat przekonań — trzeba dziesiątek, a nawet setek lat. Wbić człowiekowi do mózgu zasób określonych wierzeń jest bardzo trudno—ale stokroć trudniej jest je wykorzenić. Zwłaszcza, gdy umysł niewyrobiony, drzemiący od wieków całych — czemś nasiąknie — staje się skorupą, przez którą nawet najsilniejsze światło z trudnością i tylko w postaci słabych promyków przeniknąć może. Zostaliśmy przez różnych „opiekunów” urobieni na obraz i podobieństwo niewolników dla których jedyną wolą jest wola ich panów, stąd też paniczny lęk przed samodzielnością.

Gdy ubranie moje zedrze się — rzucam je do śmietnika i sprawiam sobie nowe. Biednym jest ten, kogo na to nowe ubranie nie stać. Gdy zespół wierzeń, jakiemi dotychczas kierowałem się, przestaje mi wystar-

czać, albo wręcz szkodzi—wyrzucam je czemprędzej ze swego mózgu poto, by nowemi, według mego najgłębszego przekonania, lepszemi „prawdami” powstałą pustkę zapełnić. Godnym litości jest ten, kto czuje, że mu staje się ciasno w jarzmie dotychczasowych wierzeń—ale nie ma odwagi, odrzucić ich, a co gorsza — nie ma ich czem zastąpić. To już jest ubóstwo duchowe.

Dokładnie zdajemy sobie sprawę z coraz gorszego funkcjonowania instytucji, której na imię: „małżeństwo”; widzimy wiele braków; spostrzegamy szkody wyrządzane nam, ale brak nam odwagi powiedzieć głośno o tem. Lękamy się nowości.

Świeckie ustawodawstwo małżeńskie jest koniecznością, która przyjdzie. To tylko kwestja czasu. Uniezależnienie małżeństwa z pod wpływu kleru—jest jednem z okien, przez które trochę świeżego powietrza do naszej stęchłej atmosfery wpadnie, to krok naprzód w poszukiwaniu nowego życia, nowych form ustrojowych.

Na ziemiach polskich obowiązuje 5 rodzajów prawa małżeńskiego. Każde z tych praw zawiera oddzielne przepisy dla poszczególnych wyznań, a że na ich brak narzekać nie możemy — łatwo sobie wyobrazimy, co za zamęt ten stan wytwarza. Tego, co wolno katolikowi w Warszawie, pod grozą nieważności nie może on dokonać w Poznaniu. Ślub cywilny zawarty przez obywatela polskiego zagranicą — na mocy podpisanej przez Polskę konwencji międzynarodowej—jest ważny w Polsce. Ale gdy obywatel polski z Siedlec pojedzie na parę dni do Torunia, by tam wziąć ślub—małżeństwo jego jest nieważne. Już to samo wystarcza do żądania jednolitego prawa małżeńskiego.

Następnie każde wyznanie rządzi się odrębnemi wymogami; to, co wolno katolikowi, nie wolno ewangelikowi. A przecież w Polsce jest dużo bezwyznaniowców i jeszcze więcej paszportowych katolików, ewangelików i in. Cóż ci ludzie mają robić? Przysięgać bogu, w którego nie wierzą? Przyjmować błogosławieństwo, z którego kpią? Dziś oni nie mają innego wyjścia! Jeżeli przytem wszystkiem ośmielamy się jeszcze twierdzić, że u nas mamy tolerancję religijną, wolność sumienia — to naprawdę jesteśmy najszczęśliwszem, najsprawiedliwszem państwem na świecie.

Zdawaćby się mogło, że te sprawy tak proste, jasne, konieczne — nie powinny budzić sprzeciwów u nikogo. Przecież chyba samemu nawet księdzu nie jest przyjemnie dawać ślub i błogosławić ateuszowi? A jednak nie chce się wyrzec tego uprawnienia. Pamiętamy bowiem dobrze te wrzaski nieludzkie, podniesione przeciwko projektowi nowego prawa małżeńskiego, te przeraźliwe krzyki, zdolne nieboszczyków z martwych podnieść, aby i oni—w obronie „zagrożonej wiary” wystąpili. I doprawdy—ze zjeżonym z przerażenia włosem przystępujemy do czytania „projektu”, przygotowań, że w tych kartach całe djabelskie zastępy siedzą. Czytamy ostrożnie, dokładnie rozważamy każde zdanie, uważnie wyławiamy każdą myśl — i rzeczywiście ogarnia nas przerażenie. Ale nie dlatego, żeśmy tam piekielne pomysły znaleźli, o, nie! Przerażenie nas ogarnia na myśl, jacy — myśmy naprawdę biedni, ciemni, zahukani skoro przeciwko temu protestujemy. Zostaliśmy wtyle za całym światem cywilizowanym conajmniej o całe dwa stulecia, oddychamy dusznem powietrzem,

przez jezuitów wytworzonem—i powiadamy, że nam z tem dobrze. Projekt Komisji Kodyfikacyjnej jest niewielkim krokiem naprzód w pogoni za Europą—a my, łańcuchami duchowej niewoli spętani — i tego uczynić się lękamy.

Można ryzykować twierdzenie, mające 99% pewności, że w olbrzymiej większości wypadków projekt prawa małżeńskiego znany nam jest — z komentarzy *księdza proboszcza.*

Spójrzmy na projekt. Są dwie formy zawierania małżeństwa: *cywilna i religijna.* To znaczy—ten, kto oprócz aktu cywilnego będzie chciał zawrzeć ślub religijny — idzie do kościoła, jak dotychczas — i jest w porządku. A ksiądz tylko w ciągu 5 dni jest obowiązany zawiadomić władzę cywilną o zawartem małżeństwie. Gdzież tu zamach na religję? Owszem, jest zamach, ale na kieszeń księdza, — bo przy konkurencji, jaka wtedy powstanie—śluby grubo potanieją. I stąd ten krzyk; kieszeń proboszcza jest główną tego przyczyną, a nie żadne „powody religijne”.

A rozwody? Ten straszak na stare baby? Trzeba być zupełnie naiwnym, albo fałszywym, aby twierdzić, że obecnie rozwodów niema. Rozwody są (pod niewinną nazwą „unieważnień”), ale tylko dla tych, którzy pieniądze mają. Dziś dla bogatego zmienić żonę jest kwestją paru miesięcy czasu i kilku tysięcy zł. Biedny tego nie zrobi, bo go nie stać. Może lata całe mieć awantury w domu — nierozerwalność małżeńska dla niego jest świętą—bo nie ma pieniędzy na rozwiązanie „węzła nierozerwalności”. Czyż nie lepiej, nie uczciwiej — postawić sprawę wyraźnie? Dlatego też projekt nowego prawa małżeńskiego dopuszcza rozwody, które dla małżeństw bezdzietnych są względnie łatwe, dla małżeństw zaś mających dzieci — bardzo utrudnione. Dość wspomnieć, że małżeństwo bezdzietne może uzyskać rozwód nie wcześniej, jak z 6-7 lat od czasu wszczęcia kroków rozwodowych. Małżeństwo, które ma dzieci, jeszcze dłużej musi czekać, a sąd w pierwszym rzędzie zabezpiecza los dzieci. Przy obecnym stanie prawnym dzieci zdane są na pastwę losu, żaden biskup nie zatroszczy się o to; co ich zresztą obchodzi los dzieci? Dla nich „życie po bożemu”—to jaknajwiększa ilość urodzeń, ślubów i śmierci.

Prawo i moralność nie są nadprzyrodzonego pochodzenia, to nie jest wola tego, czy innego boga—to jest wykwit duszy narodu, to produkt warunków, w jakich żyjemy. Położenie geograficzne, klimat, urodzajność gleby—to są przesłanki, na których wyrasta charakter ludu, kształtują jego prawa, rodzi się etyka. Jesteśmy ludźmi—mocną stopą o ziemię oprzeć się musimy, z ziemi i z życia na niej czerpać zasoby sił trzeba. Inaczej—zawiśniemy w próżni, wśród której widm i upiorów szukać nam każą.

«Młoda Myśl Ludowa» zwraca się do swoich Czytelników z gorącą prośbą o niezaleganie z prenumeratą!

WINCENTY BUREK

WIANO NA PROCENCIE

(Reportaż)

Kaźmirz Michalak aż rozpęczniał od wielkiej radości. Nieujęta uciecha wybijała się z jego chodu, obejścia, buchała w gadce, szczerzyła się uśmiechem od ucha do ucha. Pełno było na wsi jego radości, obnosił się z tem weselem powszędy, codnia, nieumordował się rozpowiadaniem rózowitnem, jaki mu się to los przydarzył. Nie było wtedy na Ocinku bardziej roześmianej gęby. Od nikogo nie jarzyło się takie szczęście. Zachłystywał się niem Kaźmirz Michalak długo, bardzo długo...

Bo patrzcie! Żył se chłopaczyna kilkanaście roków przy ojcu, świtolił mu się ten czas w posłudze, w lichym dojadku, w mizerocie chobów na grzbiecie, upływały lata biedne, nijakie,—aż raptem taka nowość, ani spodziewana. Zwyczajne życie, odmierzane jadłem, spaniem, styrkaniem roboty w polu i koło domu, otworzyło raptem przed Kaźmirzem wielki widok, sypnęło odmianą, obdarzyło uciechą. Jakże nie skikać radośnie, jakże się nie śmiać po drogach, po chałupach?!...

Nikt inszy, ino ojcowa wola zmajstrowała tę uciechę. Przybazyło się staremu Michałowi, że będzie już dość tego kłopotu z gospodarką, Niechta dziecka obejmą co swoje, i niechże jemu na schyłku wieku wiater z głowy pójdzie. Ni stąd, ni zowąd, jeszcze nie w podeszłych latach, zapachniała staremu Michałowi żywotka. Ciepły zapiecek, różaniec do ręki, swobodna machora napodorędziu. Michałowi zachciało się duśnie tego raju. I trzask-prask przychylił go sobie tym podziałem.

Nie z czego inszego wyplęgła się radość najmłodszego z Michalaków.

— Ty, Kaźmirek, jesce jezdeś skorek — rozgadywał ojciec Michał przy dzieleniu gospodarki. — Młode mos lata, zebyś się brał do grontu. Nojporecni lo ciebie, jak se weźnies spłatę. Postawię ci piniodze od tamtych, i nawet lepi ci bez to wyńdzie, bo zacem dońdzies do lot, to ci mach grosa za precent naprzyrosto. Krzywdy w zodnem razie mioł nie bedzies...

Więc rozbrykała się wesołość Kaźmirza, bo jak tu się nie weselić z takiego obrotu? Niespodziankiem, z małego niedopirdka robi się oto ważna osoba na wsi i w okolicy. Pan na swojem. Dziedzic na trzech tysiącach. Pieniężnik. Nie za bydlarza trzeba go już mieć, ale należy mu się honor akuratny i poważanie, jak starszemu a godnemu. Już się go nie ominie na drodze, już się go lekko nie potraktuje w gromadzie. Kaźmirz... oho, Kaźmirz, on dziś w ceniu stoi na Ocinku u wszystkich, bo choć podrostak z niego i przy małym rozumie, ale w czemś inszem znaczy aż tyle, że witają go mądrale i stare siwonie, widzą go rade kawalery i dziewuchy, „Kaźmirek" i „Kaźmirek" leci do niego przychylnie, przymilnie. Woczymieniu, z wczesnej zachcianki starego Michała narodził się na Ocinku—niebyle kto. Ktoś ważny i potrzebny. Bardzo potrzebny.

Te potrzeby chłopskie... Ma się ich bezliku choćby w najlepszym czasie. Żywot chłopski, to żywot zająca, co nie jest pewien nigdy dnia,

ni godziny. Raptem, zniebaczku, o niewiadomym czasie wali się na ciebie nieszczęście i szkód rozmaitych naczyni tyle, że długo się potrza namozolić, zaczem się człek z pod takiego grzmotu wyzdobycha. Dusi potrzeba. Tu dziura, ówdzie szkoda, który coduchu należy uprzątnąć. A grosza narazie brak. Zrobić go niema jak. To potrza się wziąć w inakszy sposób. Pożyczyć. Że duży procent naraśnie—to nic. Musi się przecie jakoś wyrobić i na ten procent żydowski. Na te sześć, i pięć, i cztery od sta na miesiąc. Jak potrzeba nieprzeparta złapie za duszaka, to człowiek każdej broni się chwyci i nie pomyśli ni chwili, co tam dalej może wypaść z takiego postępku. Biedny człowiek pożycza na procent wielgachny.

Ociński człek, zgnieciony potrzebą, nie szuka daleko. Kaźmirz Michalak odebrał już od braci swoje wiano i gospodarzy niem zwyczajnie. Nie ukrył go w kasach czy w bankach, bo po co? Tam dają taki nędzniutki procencik, kiedy tu, na wsi, można tak zgrabnie po roku przymnożyć do stówki prawie drugie tyle. I nie trza się napierać, nie trza się naprzykrzać nikomu z pieniężną wyręką. Komu potrza, sam przyjdzie, na drogę wyleci za Kaźmirzem, i będzie nieśmiało i bojaźliwie dopraszał się jego łaski. A jeszcze funda obleci w Sandomierzu u Ślepego Mośka. Do miasta z drogiej duszy każdy go powiezie i na paradnem miejscu posadzi. I swata się go majętnie, boć już Kaźmirz w akuratne do żeniaczki lata podrasta. Hej, żyć naszemu bankierowi, naszemu Kaźmirkowi kochanemu, i nie umierać!...

Lata lecą jak woda w pobliskiej Opatówce, i lata przysparzają różnej doli: jednym—takiej, a drugim—owakiej. Lata są zmienne, jak marcowa pogoda, lata bywają wywrotne i do siebie nijak niepodobne. Po latach niezgorszych przyjdą lata złe. Kiedy to, co upracujesz w polu i oborze nie nastarczy ci nietylko na zachyłek na czarną godzinę, ale niewydoli nawet na przeżycie roku. Tanio. Zadarmo trza oddać krwawicę, bo zakucznik siedzi na karku i za podatki rujnuje. Niścieją gospodarki, wieś zjada załogę z dawnych lat, wieś schodzi powolnie, ale bezustanku, na dziady. Dłużnicy nie mogą się odpętolić z ugniotu ciężaru, co na siebie za lepszych czasów pokładli, i nagwałt szukają skutecznej rady. Wsią chodzą przemiany, inaczy się chłopska dusza.

Czyż mógł się w tem wszystkiem połapać taki młodziak, jak Kaźmirz Michalak? Najtęższe głowy mądrali nie spotrafiły wypatrzyć tej biedy, co chyłczkiem nadpłynęła do cichych zapłoci. Cóż dopiero on, Kaźmirz, co se żył jak pączek w maśle, co pieniędzmi brzdęczał po wszystkich kieszeniach, i rósł jak pan na miesckich jadełkach i papierochach drążkowych, i myślał, że nigdy szczęściu końca nie będzie. Że róść mu będzie majątek, że pieniądz zawsze umnoży przychowek, i że dłużnicy nigdy nie chybną w upłacie procentów. Światby się musiał zawalić, jeśliby inaczej wypadło, niż jest. Tembardziej teraz jeszcze, w tym czasie, kiedy se wojsko odsłużył i jest już wolny od kłopotu i może się śmiało obejrzeć za babą. Nie za dziadówką trzymorgową, ale za panną, coby miała i pobudynki zdatne, i wyprawę jak się patrzy, no, a tych mordeczek rodnej ziemi—conajmniej z dziesięć. Jest się przecie czem dokładać... jest! Lekko liczyć, a doliczy się u dłużników kapitału z procentem, chyba już do dziesięciu tysięcy. Mój Jezu, jak to pięknie urosło!...

Przyszedł Kaźmirz z tego wojska—i nie poznał świata, ani swojego Ocinka, ani tych swoków, ni familjantów, co wekslami siedzieli w jego kieszeni. On ich nie poznał, bo oni go nie poznawali. Każdy z dłużników wysmykiwał mu się z rąk. Uciekał przed Kaźmirzem. Starał się zbruć jakoś natręta. Odwlec przykry termin. Prześpiegiem wykręcić się, żeby jeszcze móc poczekać do lepszego czasu. Tysiąc i więcej przecie nie łatwo dzisiaj wyrobić. O, świnie się chowają na dług,—o, na przednówku zboże zdrożeje, z nowego odda się zaraz—zarazieńko...

— Pockoj, Kaźmirek, przecie ci u mnie nie przepado — molestują dłużnicy.

— Ale jo się chcę zenić. Mnie potrza piniedzy!...

— No, to przecie kazdo dziwka wi, ze mos na ludziach. Co twoje— nie przepadnie. Zeń się — i dej ci boże sceście...!

Ale i z żeniaczką nie szło Kaźmirzowi tak gładko jak dumał. A wysoko mierzył! Jak przychodziło co do czego—to majętniejsze dziewczyce wyparskiwały mu w trąbiasty nos, żeby se głowy nie zawracał. Ma pieniądze? Niech te tysiące pokaże, niech zbierze toto do kupy, a wtedy pogadamy... Ale na obiecanki-cacanki to ta takiej głupiej nie znajdzie.

Rozpieklił się Kaźmirz po dziewuszych racjach. Jakto? On swojego nie odbierze?! Ojcowizny, wiana, własnego grosza?! Zobaczymy, kto będzie mocniejszy. On jeden, czy oni w hurmie. Żeby nie wiem co, a pieniądze być muszą. Natychmiast.

A jakże, natychmiast!... Nie pomogły klątwy, wyzwiska, stawianie się pozuchowsku, ten wszystek sposób, którego tak niedawno w pułku się ponauczał. Prosił—słuchali, kiwali głowami, obiecywali; darł się i wygrażał—sklęli go do imentu i nawymyślali od zdzirtusów i złodziejów, co się Boga nie boją; a skakał do oczu, to wychodził nieraz posiniaczony i w potarganych chobach. Może mu i świtało w zawadjackiej głowie, że na nic jego zabiegi, że nie ludzie tu zawinili, ino czas ściśliwy, ale nauczona w lepszym czasie śmiałość nie chciala się zgiąć przed musem. Długie miesiące pieklił się i pieronował, i komornikiem straszył, byle wyszarpać co swoje. Przywykli już do niego i — nikt się nie nastraszył.

— Strasys kumornikiem?... Sprowadź go, sprowadź. Jus się ta rozpowi, jakieś to precenty pobirol. W kryminole zgnijes, ty chytrusie, ty zydzie harpeźny!...

Nie poradził. I większej sumy znikąd nie wykopał. Jak z łaski dostał czasami parę groszy na machorę. A tu trzeba żyć z czegoś, zawiesić się gdzieś przy robocie, jeśli niema czem wydatku opędzić... Kaźmirz zaczął podupadać chyżo i bez rady. Bratowe go poprzeganiały ze swoich obrębów, żeby ich nie objadał. Zaczął się tułać po wsi, jak ostatni włóczęga. Roboty nie znalazł. I często, bardzo często ani pianeczki warzy nie miał w gębie przez cały dzień. Wychudł na szczypę, postarzał, wydarł się z ogarnięcia, że gdziebyś tu poznał w tym nieboraku dawnego panka w modnym kaszkietku z pępkiem, w dropiatem, minnem ubraniu, w lakierach, jak lustro... Co to sulijana na wardze uwiesił i szedł bez wieś, ino woda Kuleńskiego ciągnęła się za nim chmurą pachnącą... Co to grania buczne zwoływał, hulał z prymnemi dziewuchami, — napity, wypasiony, radosny... Gdzie się zapodział ten dawny Kaźmirek Michalak, ten bankier całej wsi, ojciec i pomocnik w tylu biedach?... Jego dawniej szukali ci i owci—teraz omijają go wszyscy. Jedni z żalem, drudzy z kpi-

ną, insi ze strachem i w rozruchu sumienia. Dawny Kaźmirz przepadł w przewrocie czasu i tylko jego cień snuje się niepewnie po drogach, po gościńcach.

Moze uświerkłby gdzieś pod płotem, jeśliby mu przyszło żyć gdzieindziej, a nie na tym Ocinku, gdzie tyle ma familji. I dłuznicy jeszcze nie wygnali litości z serca: zmówili się gromadnie i uchwalili ratować Kaźmirza. Że to niby on ich kiedyś... Wynaleźli pannę na pięciu morgach z chałupą, podpisali mu akuratne weksle w komisji rozjemczej, ustanowili se raty dogodniejsze, coś nie coś wciubili mu na zaczątek—i niech się żeni. Z Bogiem. Dobre i to, więc Kaźmirz przy weselnym stole obłapiał swoich dłuzników i ściskał jaknajkrzepciej, że to mu tak szczerze życzą i wygodę taką zrobili z temi pieniędzmi na dalej.

Oj, wy czasy, czasy niewydarzone!...

STANISŁAW SAKŁAK

JAKIEMŻE CI TO SŁOWEM POWIEM...

Jakiemże ci to słowem powiem,
— gałęzie całe w złotogłowiu,
jarzębin grona — jak twe usta,
na mchach liljowa wrzosów chustka,
w srebrze poważne sosen głowy —
— jakiemże ci to powiem słowem.

A nie uwierzysz pewnie nawet,
że tyle skarbów kryją trawy:
żórawin sploty spięte w rubin,
różano-mleczne perły gubią
borówki, lśni się granat jerzyn, —
— pewnie mi nawet nie uwierzysz.

Tak treści słowa mają mało...
— cisza pod lasu tkwi powałą,
przez sito liści błękit spływa,
a wszystko, co zielone, żywe,
zbłąkany uśmiech słońca pieści
— słowa tak mało mają treści.

STANISŁAW SAKŁAK

O WEWNĘTRZNE ŻYCIE WSI *)

Życie religijne, jako jeden z najkapitalniejszych czynników życia społecznego gromady, było tematem licznych dyskusyj na terenie Związku Młodzieży Wiejskiej i Ak. Młodzieży Ludowej. Zacięte spory dowodziły, że zagadnienie to jest istotne i posiada dla ruchu ludowego nieprzeciętne znaczenie. I słusznie! Walka o życie religijne pojedyńczego człowieka, to walka o jego pion moralny, o stanowisko na tle społeczności. Walka o życie religijne społeczeństwa — to dążność do zaspokojenia potrzeb życia duchowego na szerokiem tle, jakie stwarza związek społeczny. W dyskusji tego rodzaju trzeba uwzględnić i przyjąć dwa momenty. Pierwszy — zbiorowość potrzebuje życia religijnego, drugi — społeczność pragnie tę potrzebę realizować.

Wieś, jako zbiorowość, potrzebuje życia duchowego, religijnego, potrzebę tę realizuje i pełnej jej realizacji żąda. Z potrzeby tej wyrosła książka Józefa Niećki „O wewnętrzne życie wsi", z potrzeby tej wyrastają ciągłe dyskusje, jakie w organizacjach młodzieży wiejskiej spotykamy.

Nie mam zamiaru omawiać dyskusyj, których byłem przygodnym świadkiem. Pragnąłbym tu w kilku słowach rozprawić się ze swoistą „filozofją" książki J. Niećki.

Książka Niećki wymierzona jest przeciw chrześcijańskiej nauce. W walce z chrystjanizmem pomocne są autorowi jego własne historjozoficzne ustalenia i „Słowo Żywe" Zaratustry.

Historjozoficzne ustalenia autora wyglądają tak: — Na ziemie słowiańskie przyszli ludzie „Słowa Żywego" z etyką tworzenia, zamieniali lasy na polany chleb rodzące, tworzyli życie nowe, wyznawali religję przyrody. Chrystjanizm obalił słowiańskie bogi, ustalił ucisk, zabił ducha tworzenia.

Wszystko to było krzywdą człowiekowi zadaną. Z tego wniosek — należy przywrócić panowanie starych bogów, realizując przez to dążności gromady wiejskiej do życia w duchu tworzenia, w duchu praw religji przyrody.

Autor cytuje szereg przykładów na poparcie swej tezy, że te pragnienia żyją, że żądają realizacji w formie gromadzkiego współżycia w Domu Społecznym, gminie religijnej i kościele nowej (właściwie starej) wiary.

Jako najważniejszy argument swego rozumowania wysuwa moment historyczny — słowian prahistorycznych — spółczesną dążność do życia gromadzkiego, wyrażającą się *w życiu gromadzkiem.*

Ustalenia historjozoficzne autora są nieścisłe. Odsyłam ciekawego czytelnika do dziejów ustroju Polski (książka prof. St. Kutrzeby t. I), czy też do innej pracy o historji ustroju w Polsce. Wątpliwą jest też rze-

---

*) *Józef Niećko. O wewnętrzne życie wsi.* Warszawa 1930. Nakł. Inst. Ośw. i Kult. im. Staszica. str. 64.

czą historyczne pochodzenie życia gromadzkiego. Czy wypływa ono z przedhistorycznych słowiańskich urządzeń, czy też może jest dopiero skutkiem późniejszego samorządu (wieś na prawie polskiem, niemieckiem, wołoskiem i t. p.) o to spierać się nie myślę. Może zresztą zrodziła je konieczność uregulowania współżycia jednej wsi.

Życie gromadzkie nie jest jedyną cechą współczesnej gromady wiejskiej. Mam nawet wrażenie, że cytowanie go jako zjawiska pewnej spoistości społecznej wsi jest grubą przesadą. Z własnych obserwacyj wysnułem pogląd, że chłop jest skończonym indywidualistą, że od czworokąta zagrody zaczyna swój pogląd na świat przedewszystkiem. Społeczne dążności wsi są natomiast zjawiskiem późniejszem i wsi narzuconem. Prawie nigdy, poza samosądem, wieś nie występuje gromadnie, a samorzutnych organizacyj społecznych na wsi widzi się bardzo niewiele. Zmysł organizacyjny wieś posiada bardzo niewielki. Fikcję gromady wiejskiej rozbija wielkie zróżnicowanie społeczno-ekonomiczne samych jej członków.

Argumenty przeciw chrystjanizmowi, autor stawia w płaszczyźnie ucisku moralnego i ekonomicznego. Chrystjanizm dla niego jest religją możnych, zapewniającą dzięki wpływowi na organizacje państwowe możność panowania człowieka nad człowiekiem. Przeciw temu panowaniu stawia wzór wolności i równości w życiu wspólnoty gromadzkiej, w życiu religijnem swobodę i brak wszelkich autorytetów.

Niekonsekwencje dość jasne i wyraźne. Chrystjanizmu, jako teorji społecznej nie myślę wcale tu bronić, gdyż obrony nie potrzebuje. Przez wieki był obroną słabego przeciw możnym, wszystkich równał wobec Boga, głosił miłość i pojednanie. I zapomina autor, że właśnie tam, gdzie od powszechnej katolickiej nauki społeczność odbiegła, rodził się wyzysk, zaborczość i ucisk, (Niemcy — cuius regio, eius religio w dobie protestantyzmu), Anglja (imperjalizm) Francja (kapitalizm).

Rola chrystjanizmu w dziele organizacji życia gospodarczego i duchowego także obrony nie wymaga. Stworzył cechy i bractwa, walczył z lichwą, prowadził szkoły, podnosił życie rolnicze (Benedyktyni).

Ale pozostaje nam jeszcze jedna dziedzina, dla nas najważniejsza. Dziedzina życia wewnętrznego, życia duchowego, religijnego.

Chrystjanizm jest światopoglądem. Światopoglądem surowym i prostym. W dziedzinie etyki przerzuca osąd czynu na stronę jego wewnętrzną, zamiar. Nie to, co legalne czy piękne, ale to, co sprawiedliwe— jest dobrem.

Tę dziedzinę życia wewnętrznego wsi autor zapoznaje. Wystarcza mu zewnętrzna obrzędowość, nie dotyka etyki. Etyka jest z punktu widzenia zbiorowości społecznej podstawą sine qua non normalnego i zdrowego życia tej zbiorowości. Tylko człowiek o wysokiej wartości moralnej o osobistem życiu moralnem, kontrolowanem nieustannie przez sumienie, nieznające kompromisów, a oceniające co sprawiedliwe, jest zdrową społecznie jednostką. Nie wyobrażam sobie, aby człowiek bez etyki osobistej mógł tworzyć rzeczy społecznie pożyteczne. O tej etyce osobistej w życiu wewnętrznem człowieka wsi książka J. Niećki zapomina.

Rzecz to zresztą zrozumiała. Nawracanie do poganizmu, może pięknego, jak wszystko co jest już legendą; oparcie życia wewnętrznego na osobistym autorytecie moralnym, bez autorytetu zewnętrznego, tego bowiem wymaga potrzeba nieograniczonej przez nic swobody jednostki, pro-

wadzi w konsekwencji do zapoznania tego, co jest każdej religji rzeczą istotną — nakazu moralnego. Jest on imperatywem ograniczającym swobodę jednostki, nie sankcją tylko, ale świadomością, że czyni niesprawiedliwe.

Tego rodzaju imperatywów nauka chrześcijańska posiada wiele, posiada wystarczający dla każdej okoliczności kompleks. Tworzą one pewien ciężar społeczny, rzecz oczywista hamujący swobodę, gdy chce się stać samowolą. Może dlatego łaskawsze były stare bogi, bo znały kompromis, bo same były człowiekowi podobne z przywarami i zaletami jego. Zdaje mi się, że nie wyzysk materjalny kleru, że nie klerykalizm pojęty, jako narzucanie się duchowieństwa, aby go słuchano zawsze, gdyż jest duchowieństwem, ale że właśnie to ograniczanie swobody — samowoli moralnej jest przyczyną tylu ataków na kościół katolicki.

Projekty i poglądy autora książki „O życie wewnętrzne wsi" są nierealne. Życie przechodzi samo obok nich. Są poezją tylko, nie programem. Zawierają luki w obserwacji życia, gdyż to życie obserwują przez pryzmat jednej starej książki o „Słowie Żywem", co przez ten wąski pryzmat nie przejdzie, uchodzi uwagi autora.

Realizowanie postulowanych przezeń: Domu Społecznego, religji zewnętrznej tylko, obrzędowej, gdyby było nawet możliwe, nie stworzyłoby w życiu religijnem społeczności wiejskiej nietylko systemu religijnego, ale nawet pozorów sekty tego systemu.

ECHA

Po ograniczeniu autonomji wyższych uczelni w Polsce, p. minister oświaty, Jędrzejewicz, przed rozpoczęciem się bieżącego roku akademickiego, z właściwą sobie bezceremonjalnością zrobił drugi krok „naprzód", zarządzając skasowanie kilkunastu katedr na wyższych uczelniach. Redukcja ta, przeprowadzona rzekomo z pobudek oszczędnościowych, nie zaoszczędziła nauce polskiej, polskiemu światu naukowemu i uczącej się młodzieży tej przykrości i straty, że obok katedr drugorzędnych, zlikwidowane zostały katedry żywe i twórcze, będące chlubą naszego szkolnictwa i naszej pracy naukowej. W ich szeregu skasowano na Wszechnicy Jagiellońskiej *katedrę historji kultury polskiej*, z której promieniował światłem swej wiedzy, wybitny uczony, syn wiejskiego ludu, prof. *Stanisław Kot.*

Prof. St. Kot był jednym z tych profesorów, którzy po znanych praktykach brzeskich, pierwsi pospieszyli, aby przeciwko nim zaprotestować ze stanowiska moralnego. Dlatego to fakt zredukowania Jego jako profesora, przez zwinięcie prowadzonej przezeń katedry, nabiera specjalnego znaczenia i smaku; odbił się on też głośnem echem w opinji społecznej i w świecie naukowym, nietylko Polski ale i zagranicą. Niedawno w „Prasowej Ajencji Francusko-Zagranicznej" ukazał się był artykuł pod wymownym tytułem: *„Hekatomby uniwersyteckie"*. Oddźwiękiem tego artykułu jest list francuskiego uczonego do redaktora wspomnianej ajencji. W liście tym francuski uczony pisze między innemi:

Panie Redaktorze!

W numerze pańskiego wydawnictwa z 15-go października czytam o „Hekatombach uniwersyteckich”, dokonanych przez prezesa ministrów M. Jędrzejewicza, następujące słowa:

„Cztery dziesiątki uczonych zostały wygnane ze swoich ognisk pracy, a nie znalazła się we Francji żadna gazeta, prócz „Depeszy z Tuluzy”—, nie znalazł się żaden profesor francuskich uniwersytetów, któryby wyraził współczucie ofiarom tej hekatomby, co przeszła zniszczeniem przez polskie uniwersytety.

Dlaczego tak było? Bośmy o niczem nie wiedzieli.

Francuscy pracownicy umysłowi są nieświadomi faktu, że narzucone, nowe prawo zniosło autonomję, z której korzystały, od przeszło 500 lat, ogniska wyższego wykształcenia. Szanowały ją nawet monarchje zaborcze.

Gdybyśmy byli wiedzieli o zatracie tego przywileju — to opinji francuskiej, jak polskiej byłoby zostało przypomniane, że wszak to właśnie dzięki tej autonomji, Uniwersytety, w wiekach ubiegłych, mogły podtrzymywać wśród ogółu niezłomną wiarę w zmartwychwstanie narodowe.

Francuscy pracownicy umysłowi nie wiedzieli również, że między profesorami pozbawionemi katedr znajdują się ludzie cenieni przez naukę europejską, jak prof. St. Kot, wykładający historję polskiej kultury, którego prace: o protestantyźmie i o historji wychowania są powszechnie znane. I wielu innych uczonych równej wartości naukowej i moralnej.

Gdybyśmy byli wiedzieli, że ci wybitni pracownicy umysłowi zostali wygnani ze szkolnictwa wyższego, — to my, francuscy pracownicy umysłowi nie omieszkalibyśmy wyrazić naszego żalu i protestu.

Zapewne, że francuskim pracownikom umysłowym nie należy wtrącać się do wewnętrznej polityki zaprzyjaźnionego narodu. Nie jest ich rzeczą wypowiadać się za — lub przeciw jego instytucjom czy reformom. Zbyt jednak gorące jest nasze przywiązanie do wolności ludzkiej nauki, i zbyt wiernie służymy sprawie przyjaźni polsko-francuskiej, by nie spełnić obowiązku i nie iść za nakazem prawa do założenia protestu u rządu sprzymierzonego — przeciw takim amputacjom, które mogą zaszkodzić opinji nauki polskiej i osłabić autorytet Państwa Polskiego.

Wyrazy szacunku i pozdrowienia

Jakób Bardoux

czł. Instytutu Francji, prof. hon. Wolnej Szkoły
Nauk Politycznych.

Do tego listu francuskiego uczonego dodaje od siebie redakcja Ajencji:

„Dziękujemy prof. Jakóbowi Bardoux za jego wzruszający list. Godny jest powagi jego nazwiska i znaczenia Jego pióra. Możemy zapewnić wybitnego członka Akademji i świetnego pisarza politycznego, że ten jego głos serca znajdzie wdzięczny oddźwięk w Polsce! Uniwersytet polski i cały polski świat naukowy będzie mu wdzięczny za zwrot ku nim, życzliwy i szlachetny, który więcej zacieśni węzły solidarności franko-polskiej niż długie lata stosunków oficjalnych.

Odkąd ujął pióro w swe dłonie Jakób Bardoux zawsze walczył o Polskę i bronił jej Sprawy z gorliwością i zapałem. Ten list tak głęboko ludzki, który zwrócił teraz do nas,—stwierdza, że jego serce żywo współczuje z sercem polskiego narodu.

Takich wystąpień się nie zapomina. Ryją się one we wdzięcznej pamięci narodu.

Aj. Pras. Francusko-Zagr.

* * *

Z głosów, jakie odezwały się w tej sprawie poza granicami naszego kraju przytaczamy jeszcze jeden, który pojawił się w czasopiśmie p. t. „Słowiański Przegląd". Znany recenzent piśmiennictwa polskiego w prasie czeskiej i niemieckiej, p. Magr, omawiając sprawę redukcji katedr w uniwersytetach polskich, tak pisze:

„Zdumienie wywołało usunięcie prof. Stanisława Kota. Przez trzynaście lat swej działalności jako badacz, profesor uniwersytetu i organizator, rozwinął prof. Kot niesłychanie płodną aktywność, która go wysunęła bezsprzecznie do naczelnego rzędu polskich historyków i zapewniła mu rozgłos osobistości naukowej europejskiego znaczenia. Jego prace, oparte na gruntownej metodzie i głębokiej erudycji, przyniosły mnóstwo nowych rezultatów!

Omówiwszy następnie działalność naukową i organizacyjną prof. St. Kota, kończy autor słowami:

„Stanisław Kot jest badaczem, któremu polska i europejska nauka niesłychanie wiele zawdzięcza. Ma lat 48 i można oczekiwać od niego dalszej naukowej działalności. Usunięcie go z jego stanowiska i odebranie mu w znacznej mierze możliwości pracy przez zarządzenie administracyjne jest krokiem, wywołującym zdumienie. Darmo szukać tu motywów rzeczowych. Nauka polska, jakkolwiek wysoko stoi musi jeszcze uzupełnić wiele braków, spowodowanych nieszczęsnemi stosunkami. Zdawałoby się, że czynnikom decydującym powinno jaknajbardziej na tem zależeć, aby wszelkiemi siłami wspierać pracę badawczą tej miary, co prof. Kot, zamiast ją przecinać".

MIECZYSŁAW KAFEL

NIEWYZYSKANE ŹRÓDŁA

W czasach ostatnich z różnych powodów dość duże zainteresowanie budzi sprawa rewolty chłopskiej z r. 1846 czyli sprawa Szeli. Toczy się w literaturze zwłaszcza zaś w pismach ludowych dyskusja na temat czem był i powinien zostać w historji ten chłop ze Smarzowy, pod komendą którego wyruszyło chłopstwo by — jak powiada Żeromski — skończyć z „ciarachami". Czy postać Szeli ma być dla nas postacią historycznego zbrodniarza, ambicjonera, czy też ma ona być poważnem „memento" dla wszystkich tych, którzy nadużywają cierpliwości chłopskiej. Oto pytanie, na którego odpowiedź czekamy.

W rozważaniach swoich na ten temat autorzy sięgają do źródeł pisanych — do literatury: Wyspiański, Żeromski, Szpotański, Świętochowski, Jasieński i t. d. czy prasy — krytykując je bądź też wyciągając z nich odpowiednie wnioski.

Zdaniem mojem w rozważaniach tych pominięto jedno z najważniejszych może źródeł, z którego czerpać możemy wiele, bardzo wiele w tej sprawie. Źródłem tem to tradycja, to krążąca od ust do ust we wsi tarnowskiej i podkarpackiej wieść o Jakóbie Szeli. Te opowiadania czy nawet legendy, krążące na ten temat wśród ludu mogą niejedną sprawę w „kwestji szelowskiej", wyjaśnić, wytłumaczyć, rozszerzyć pogląd, utrwalić. Tembardziej, że pamiętać musimy, iż to niewiele — z historycznego punktu widzenia — bo dopiero 87 lat dzieli nas od tych wypadków i w wielu miejscach możemy znaleźć żywe pomniki tych czasów. Można jeszcze gdzieniegdzie spotkać 90 letnich staruszków, którzy czasy te pamiętają i wiele jako naoczni świadkowie mogliby o tych rzeczach powiedzieć. Dużo wiedzą ludzie o tych czasach „z drugiej ręki" od swych ojców, tego także nie należałoby pominąć, lecz zebrać, spisać te głosy jakie na ten temat plączą się po chłopskich chałupach. Możnaby również zakrzątnąć się około wyszukania gdzieś po wsiach pamiętników chłopskich z tych czasów. (Słyszałem od jednego z działaczy, że takie pamiętniki „gdzieś" są).

To byłyby rzeczy dla historyka wartościowsze niż 10 „turoniów" czy medali Szeli. Tutaj również należy szukać właściwej bezpoprawkowej historji.

Czas nagli, czem później tem gorzej będzie zebrać te wiadomości czy odnaleźć pamiętniki. Wiadomości te winno się się spisywać i utrwalać drukiem na łamach pism ludowych. Tem zająć się winni światlejsi działacze po wsiach, lub też może by się znalazła jakaś instytucja publiczna, któraby wysłała specjalnie kogoś na kilka tygodni po powiatach celem zebrania od działaczy chłopskich wiadomości, opowiadań, legend o roku 1846, których tyle krąży.

Praca ta będzie dużą zasługą dla historji ruchu chłopskiego. Te dokumenty, które już są w muzeach, bibljotekach i t. d. nie znikną i z nich zawsze czerpać możemy. Opowieści, jednak jakie wśród ludu krążą, z biegiem czasu się zacierają, przychodzi nowe pokolenie i wówczas trudniej w nich doszukać się prawdy.

Należy więc już dziś o tem pomyśleć i zacząć niezwłocznie pracę. Jeżeli chcemy wiedzieć prawdę i szukać tej prawdy to nie przysłuchujmy się tylko tym „pieśniom i pieniom" poetów zgoła wrogich wsi albo też względem niej obojętnych, lecz nastawmy również ucha na głosy potomków Szeli, na głosy tak jak przedtem i dziś gnębionej wsi, która bezpośrednio była w tem zainteresowana, a mam wrażenie, że będzie to bodaj najważniejsze i najprawdziwsze słowo o Jakóbie Szeli.

WŚRÓD POETÓW I KSIĄŻEK

Wojciech Skuza. — KUMAC, rzecz o Wojciechu Bartoszu Głowackim. Kraków — 1933, nakładem Domu Ludowego „Wisła" w Krakowie, str. 62.

Rok 1794 w literaturze pięknej posiada wiele dzieł. Kościuszko, Racławice, Głowacki — są dla nas już legendą. W legendzie żyje widomym symbolem dusza narodowa, faktom nadaje rysy olbrzymie, uczestników swej akcji czyni bohaterami wielkiej miary. I ilekroć odziera się z tej legendy jej płachtę usianą gwiazdami największego narodowego odznaczenia, dzieje się krzywda narodowemu sumieniu, które może nie jest sprawiedliwe, ale jest piękne. Ostatnio byliśmy świadkami odbronzawiania wielu legend. Może z punktu widzenia historji jest to rzeczą słuszną i sprawiedliwą. Czy jednak jest rzeczą słuszną dla poezji, aby zdzierając stary bronz z pomnika, kładła nań nowy — nie wiem. Zresztą w poezji szuka się nie prawdy historycznej, a prawdy wiecznie nowej, prawdy natchnienia i talentu.

Skuza w poemacie o Głowackim stara się narzucić nowy płaszcz na legendę Kościuszki i Głowackiego. Płaszcz w którym „ino złość się iskrzy spodem". Kto jest „kumacem", godzącym stany, czy Kościuszko czy Głowacki — trudno dociec. Jedną tylko wysuwa się z całości myśl: Kościuszko oszukał chłopów, Głowacki był natomiast awanturnikiem, który dał się uwieść. Czy to jest prawda historyczna? Chyba nie. Jest to natomiast „prawda" poematu Skuzy. Drugą jego prawdą jest podłoże socjalno-historyczne, na którego tle rozwija się akcja — jest to prawda krzywdy chłopskiej, prawda ucisku, niesłusznie może nawet z punktu widzenia kompozycji artystycznej zaktualizowana i zestawiana z krzywdą Brześcia: „źle teraz i dawniej tak bywało! — — Kum Wincenty był w Brześciu — Bartos jest na — — — bibułkach —".

Trzecią prawdą poematu jest tragedja walki chłopa z chłopem choć innej narodowości, gdy nie widzi dla siebie racji tej walki i konieczności, gdyż

„król z cesarzem,
choć się czasem kłóci —
chłopską słomę, pańskim cepem
sumiennie wymłóci".

I wtedy chłop — Bartos — patrzy —

„konają moskale —
— tak ci zbliska patrzy na nich:
dyć — to — chło — py —

Przy takiem nastawieniu ideowem poematu zrozumiałą jest rzeczą ironja, która przewija się przez wszystkie te strony poematu, gdzie mowa o brataniu stanów w walce o wolność, która dla chłopa nie jest wolnością jego ojczyzny, a wolnością ucisku ze strony szlachty i pańszczyzny. — W tej ironji Kościuszkę nietylko wyzuto z cech demokratyzmu, ale uczyniono zeń obrońcę „złotej wolności". To jest rzecz krzywdząca, to jest niesmaczne kłamstwo. Kościuszko bowiem na przestrzeni wieków był jedynym rzeczywistym przyjacielem chłopów i gdyby przeprowadził dzieło powstania byłby może obdarował wszystkich chłopów ziemią tak, jak to uczynił w swojej wsi.

Poemat napisany jest dość mocno. Brak mu czasem tylko zwartości. Typ tego rodzaju poezji, ustalony przez Jasieńskiego w „słowie o Jakóbie Szeli", znalazł w Skuzie

zdolnego naśladowcę. Obrazowanie Skuzy posiada świeżość chłopskiej, bezimiennej twórczości. Szkoda tylko, że poeta tę pieśń opisując, zbanalizował opis dziadem z lirą, skrzydłami, strunami i t. p. rekwizytami sentymentalnego czasu przeszłego. Język prosty o skali niezbyt szerokiej, posiada dużą jędrność i dźwięczność. Między wydanym w ubiegłym roku zbiorem wierszy Skuzy p. t. „Kolorowe słowa" a „Kumacem" znać duży postęp formalny. Poemat poprzedza niewiele mówiąca niepotrzebna przedmowa Leona Kruczkowskiego.

S. S.

OPUSZCZONO W POPRZEDNIM NUMERZE

W poprzednim numerze „Młodej Myśli Ludowej", zawierającej sprawozdanie z przebiegu kursu-konferencji przodowników pracy Związku Młodzieży Wiejskiej R. P., w referacie kolegi *Leona Lutyka* p. t. *„Uogólnienia i wnioski"*, str. 63, podczas łamania numeru przez nieuwagę opuszczono całą końcową część referatu. Przytaczamy ją poniżej, przepraszając kol. L. Lutyka za wyrządzoną mu moralną szkodę.

Opuszczona część referatu brzmi:

W pracach widowiskowych przejawia się nasza kultura uczuć. Twórczość w tej dziedzinie jest uwarunkowana zdolnością przeżywania pewnych scen dostarczanych z wyobraźni, zdolnością doznań wywołanych przez pewne podniety uczuciowe. Nie będę dowodził, bo łatwiej wierzyć tu niż gdzieindziej, że współżycie z naturą — jako wybitnie kształcące i uczucia i wyobraźnię — daje doskonały podkład do tej pracy. Stąd charakter naszej sztuki teatralnej: cechuje ją wielkie związanie widowni ze sceną. Eksperymenty wprowadzone przez dawne Szyce w postaci sztuk z głowy — udają się na tem tle dość dobrze, a inscenizacja stała się powszechną formą naszej pracy teatralnej w Kołach.

Prace wychowania rolniczego dają może największą możność rozwinięcia i udowodnienia teorji wpływu natury na człowieka. Te prace wychowują najbardziej człowieka natury. Na minjaturowem gospodarstwie konkursowem członek Koła nietylko uczy się gospodarowania. Ma on możność ogarnąć to całe małe gospodarstwo mądrem wejrzeniem i spostrzec to, czegoby nigdy nie zobaczył w mikroskopijnej postaci. Ma możność użyć do zagadnień natury swego zmysłu syntetycznego jak i do innych prac myślowych. Przytem praca jest tak ułożona, żeby dla osiągnięcia wyników — konkursista musiał zaprzęgnąć do współpracy nietylko współkolegów, ale aby musiał zadzierzgnąć jaknajserdeczniejsze węzły przyjaźni z przyrodą, z hodowaną rośliną czy zwierzęciem, żeby umiał urobić sobie z nich ważnych współpracowników.

Wychowanie fizyczne również jest bogatą skarbnicą czerpania wartości dla uczestnika pracy koła młodzieży. My budziliśmy na wsi sport, wskazując na jego naturalne przejawy w życiu wsi czy to u dziecka czy u młodzieńca. I te rzeczy znalazły oddźwięk w Kołach, bo były praw-

dziwe i naturalne. Stąd praca sportowa w Kole jest rozwinięciem instynktów naturalnych chłopca — pogoni za wędrówką i przygodą, dążności do współzawodnictwa i do wykazania się swą chwacką brawurą, jest wynikiem tych wszystkich pierwiastków, które w wybitnym stopniu istnieją w duszy dziecka wiejskiego i młodzieży wiejskiej.

Zwrócić należy jeszcze uwagę na *życie religijne.* Nasze Koła idą wyraźnie po linji podnoszenia religji — jako naturalnego objawu człowieczeństwa. I z punktu widzenia głębokiego zrozumienia i odczucia religji, dążą do wyraźnego rozgraniczenia pojęć: religja, kościół i ksiądz — przyczem praktycznie objawia się to w walce narzuconej nam przez broniący się przed prawdziwem uświadomieniem chrześcijańskiem — kler. Skutki tej walki obserwowane w postaci wpływu jej na jakość członków Kół i na jakość gromady, która tę walkę prowadzi — uznać należy za dodatnie.

Zwrócę jeszcze uwagę na to, że wpływ natury zależy w ogromnej mierze od tego czy gromada, której to dotyczy, wpływ ten sobie uświadamia i twierdzę, że w przeciwnym wypadku działanie tych warunków naturalnych na wychowanie gromady i człowieka jest nikłe. To nakazuje nam w pracy związkowej rozwijać i propagować ten sposób patrzenia a skutki nie dadzą czekać na siebie.

Rękopisów nadesłanych Redakcja nie zwraca.

Warunki prenumeraty: Rocznie — 6 zł., półrocz. — 3 zł., kwart. — 1 zł. 50 gr.

Redaktor: **Józef Grudziński.** Wydawca: **Adam Zieliński.**

Drukarnia Oświatowa. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Warszawa, Żelazna 93, tel. 11 86-88.